

A network diagram consisting of numerous small black and white circular nodes connected by thin grey lines. The nodes are arranged in a roughly horizontal, elongated pattern. A bright yellow rectangular banner is positioned horizontally across the center of the network, overlapping the nodes and lines. The banner contains the text 'ŚWIATŁA • MAŁEGO • MIASTA' in a bold, black, sans-serif font. The overall composition is centered and balanced.

ŚWIATŁA • MAŁEGO • MIASTA



ŚWIATŁA • MAŁEGO • MIASTA

REPORTAŻE

pod redakcją Magdaleny Kicińskiej

Warszawa 2017



Copyright @ for this edition by Fundacja Instytut Reportażu 2017
Copyright @ Stasia Budzisz
Copyright @ Katarzyna Gałek
Copyright @ Kinga Gałuszka
Copyright @ Agata Grabowska
Copyright @ Rafał Grądzki
Copyright @ Marcin Koczur
Copyright @ Oktawia Kromer
Copyright @ Marta Podbielska
Copyright @ Monika Prończuk
Copyright @ Michał Szczęch
Copyright @ Martyna Wojtkowska
Copyright @ Agnieszka Żądło

Redaktor prowadząca: Monika Długa
Redakcja: Magdalena Kicińska
Korekta: Kamila Markowska / panbook.pl
Projekt typograficzny i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl
Projekt okładki i stron tytułowych: Andrzej Jakubczyk

ISBN 978-83-949160-0-8

Fundacja Instytutu Reportażu
Gałczyńskiego 7, 00-362 Warszawa

Spis treści

Kamil Bałuk

Słowo wstępne // 7

Kinga Gałuszka

Aktorzy drugoplanowi // 11

Marcin Koczur

**Józefów, czyli jak to zrobić
bez pompy // 29**

Michał Szczęch

Cosuchovia Dance // 43

Monika Prończuk

Międzyrzec Podlaski // 55

Stasia Budzisz

Dzikość miasta // 67

Rafał Grądzki

Takim go ochrzciłam // 81

Agnieszka Żądło

I tak się czeka // 99

Marta Podbielska

Laba diena, tu miłość // 119

Martyna Wojtkowska

Syndrom małego gniazda // 135

Katarzyna Gałek

Kolana się nie palą // 149

Agata Grabowska

Stanley tysiąca wesel // 165

Oktawia Kromer

TV Czarne w Urugwaju // 177

– To się nie uda, słomiany zapał... – powiedziałem do Agaty Grabowskiej w lutym 2017 r., kiedy zgłosiła, że jej rocznik Polskiej Szkoły Reportażu chce w kilka miesięcy stworzyć zbiór reportaży o mniejszych polskich miastach. Tak po prostu: bez olbrzymiego budżetu i doświadczenia. Bo można.

Myliłem się i świetnie, bo nie ma nic lepszego, niż pomylić się przyjemnie. Tę książkę trzymacie właśnie w rękach: dwanaście miasteczek opisanych przez dziewięcioro naszych studentów, jednego absolwenta i dwie osoby spoza szkoły, które – tak jak nasi studenci – stwierdziły, że chcą o jednym z miejsc reportersko opowiedzieć. Tych opowieści jest dużo więcej, wszystkie można przeczytać na stronie projektu www.swiatlamalegomiasta.pl.

Kiedy wybieraliśmy z redaktorką zbioru Magdaleną Kicińską ostateczną listę tekstów do druku, chcieliśmy, żeby zbiór był różnorodny. Poczytacie więc o disco polo w Kożuchowie, o życiu pod obserwacją telewizyjnych kamer w Czarnem i o rodzinnym zakładzie pogrzebowym w Świdwinie. Jest słodka

opowieść o Ciężkowicach, ale też o „co się kurwa gapiasz?” w Olecku.

Czasami czytelnik wraz z autorem podróżuje i małe miasto porzuca. Niby mieliśmy czytać o Międzyrzeczu Podlaskim, a jesteśmy w Izraelu. Niby o Sejnach, a lądujemy na Litwie. Bywa, że główny bohater jest jeden, jak mieszkający naraz w dwóch żółtych domach Stanisław Podpora z Wyśmierzyc. Czasem jest ich wielu – jak w Raciążu, w którym status kobiet „jest wyznaczony przez obecność mężczyzny”. Jeszcze innym razem bohaterów jest para, jak w historii znajomości Haliny i Władysława z Połczyna Zdroju. Bywa wreszcie tak, że opowieść czytamy z perspektywy samego autora – to w Sokołowie i Józefowie.

Nie wiem, czy czytelnicy, którzy znają opisywane miasteczka, zgodzą się z wizją autorów. Przeczuję, że niektórzy podpiszą się pod nią całkowicie, a niektórzy obkrzyczą, że w opisywanych miasteczkach tak naprawdę jest zupełnie inaczej. Jeśli tak właśnie będzie, to znaczy, że autorzy odnieśli sukces – napisali prawdziwe reportaże, o które można się pokłócić.

Kamil Bałuk

Reporter, koordynator Polskiej Szkoły Reportażu
w Fundacji Instytut Reportażu

Kinga Gałuszka (ur. 1978, Tarnów)
Skończyła filmoznawstwo na UJ. Mieszka
w Warszawie. Zawodowo związana z filmem.
Studentka Polskiej Szkoły Reportażu.

Kinga Gałuszka

Aktorzy drugoplanowi

1.

Weranda domu Marii Sobol z Koła Gospodyń Wiejskich („nie było sensu zmieniać nazwy, chociaż jesteśmy miastem”) jest otwarta dla zaprzyjaźnionych. Można tu odpocząć po spacerze pod górę z Muzeum Przyrodniczego zanim ruszy się dalej. Kilometr stąd jest Skamieniałe Miasto, rezerwat przyrody nad rzeką Białą. Na werandzie miło też zjeść lody, napić się piwa i przy okazji popatrzeć na ratusz i rynek, które, tak jak reszta Ciężkowic, lśnią od unijnych inwestycji.

Ludzie mówią: „No tak, niebrzydko tu nawet, tylko akurat teraz ta rozkopana ulica wokół rynku...” Taki szczegół, a wszyscy zwracają uwagę.

Ja też.

– Pod spodem ta ulica jest taka, jak pamiętam z dzieciństwa. Teraz wezmę się za nią w mojej nowej książce. Zawsze zapisuję to, co widzę. Jaka tam wyobraźnia! Ważne jest to, co tu i teraz, co się dzieje

przede mną – mówi Waldemar Bawołek. Pisarz siedzi na werandzie Marii. Zauważam go w drodze na rynek.

– Wcale miało mnie tu nie być – uśmiecha się. Odpowiadam, że i ja nie planowałam tego spotkania, bo wydawnictwo, w którym wydaje właśnie książkę, nie przesłało mi jego numeru telefonu. Doceniamy urodę przypadku i za chwilę siedzę już obok.

– O mnie też napiszesz? – pyta.

– No przecież nie każde miasteczko ma takiego pisarza.

– Gdybym był Mickiewiczem, to może by mnie tu znali – śmieje się. – A tak, to tylko „cześć poeta, tylko głowa nie ta”. Ja tu jestem zbędny. No bo co ja niby takiego robię? W ogóle pisarz jest zbędny.

W bibliotece mówią co innego: polscy autorzy, tyle że gatunkowi, dobrze się czytają. Pierwsze książki Bawołka też kiedyś rozchwytywano. Ludzie byli ciekawi. Zainteresowanie zmalało, bo nie dość, że to niełatwa literatura, to miejscowi nie lubią się rozpoznawać.

– Kto ci dał pozwolenie? – pytali mnie. – Już nie jestem głupi i zmieniam nazwiska – uśmiecha się.

„Mama pisarza dużo czyta. Przychodzą tu razem co miesiąc”, słyszę w bibliotece.

– Całe życie tylko jedną książkę: romanse. Powiedziałem to kiedyś Stasiukowi. A on na to: „Ty też całe życie piszesz jedną książkę”. Tu jest mój cały świat. Nie wiem, co bym pisał, gdybym się tutaj nie urodził.

Patrzę na rozkopaną ulicę. W tym samym czasie nawierzchnia zamienia się w asfalt i staje częścią nowej książki.

Bo z drogą to w ogóle ciekawa sprawa. Nie tylko pisarz ma tu ulicę, która staje się czymś więcej niż tylko gładką nawierzchnią. W Ciężkowicach zaczęły się też inne prace.

2.

Ruszyły kilka lat temu. W zeszłym roku ludzie zaczęli je dostrzegać. Dziś mówią, że nareszcie coś się dzieje. Wojciech Sanek, po kilku latach dyrektorowania Centrum Kultury i Promocji, wie już, że nie tylko pieniądze są do tego potrzebne. Wie też, że nie ma nic za darmo.

– Dziesięć lat temu Centrum składało się z dyrektora, księgowej i mnie jako pracownika Muzeum Przyrodniczego. Sprzedawaliśmy piwo i kiełbasę, żeby finansować imprezy, które robiło Centrum. To nie prehistoria! Dziś jest nas więcej, ale prawie wszyscy zarabiają najniższą krajową, od tysiąca pięciuset złotych, a bywa, że i mniej, maksymalnie dwa. Ale ja wiem, że pieniądze są na trzecim miejscu. Gdyby były na drugim, to byłoby słabiej. A gdyby na pierwszym, to nikt by tu nie pracował. Ludzie muszą mieć poczucie, że to, co robią, jest komuś potrzebne.

Wszyscy pracownicy w Centrum zarabiają na swoje etaty turystyką: oprowadzają po Muzeum, które

przynosi nieźle dochody. Wycieczki krążą pomiędzy wypchanymi zwierzętami i prezentacjami multimedialnymi, a oni opowiadają o przyrodzie rejonu.

Kilka lat temu, gdy Wojciech Sanek, jeszcze jako kierownik Muzeum, zastanawiał się z poprzednim dyrektorem Centrum, dlaczego nie robią w ratuszu więcej wernisaży. – „Bo nikt na to nie przychodzi”, usłyszał.

– Trzeba się z tym pogodzić, że my tu jesteśmy od wszystkiego – Sanek nie kłóci się z rzeczywistością. Wszystko to znaczy: i wernisaże, i festyny z disco-polo. – Czy chciałbym, żeby więcej było kultury niż rozrywki? – uprzedza moje pytanie i odpowiada: – Póki co, nie ma na to szans. Im dłużej w tym pracuję, tym mniej wiem, jak to działa: nieraz koncerty czy wystawy – porządnie sfinansowane – średnio wychodzą z frekwencją. Udają się te wydarzenia, w których ludzie czynnie uczestniczą. To musi być relacja wzajemna. Obie strony: my jako instytucja, ale i mieszkańcy, muszą się zaangażować.

W Ciężkowicach doszło do takiej obustronnej transakcji przez przypadek. Trzy lata temu do Centrum Kultury dołączył Bogdan Krok, rozczarowany utratą posady dyrektora GOK w sąsiednim miasteczku, Bobowej. – Ta jego energia to był materiał łatwopalny, ale on włożył ją w pracę. Wziął pod opiekę grupę seniorów i grupę dzieciaków. I nie opuścił. Dał im

swoje emocje i zaangażowanie. Te emocje się teraz odzwajemniają.

Dzięki nim rozkopana ulica to nie wykopy do załatania. To nawet nie tylko kawałek książki, która właśnie się pisze w komputerze Bawołka. To proces, dzięki któremu dyrektor Sanek może kiedyś spełni swoje marzenie: o tym, że w Ciężkowicach powstaje wielopokoleniowa grupa, która chce wpływać na rzeczywistość, a nie oczekiwać lub tylko narzekać na to, co jest.

– To się powoli dzieje. Może potrzeba na to jeszcze pięciu, a może dziesięciu lat? – zastanawia się Sanek.

Póki co skrzyknęli się seniorzy i skrzyknęły dzieciaki. Przed „Próba generalną”, pierwszym spektaklem amatorskiego teatru seniorów, dyrektor Sanek nie spał przez trzy noce.

– Oni muszą dać z siebie więcej niż w dużym mieście, bo tu są inne relacje i wszyscy się znają. Mnóstwo stereotypów musieli przełamać. I jeszcze młodzi z grupy „Synapsy” – uśmiecha się, mówiąc o artystycznej grupie gimnazjalistów. – Dla nich samych warto było zostać tym dyrektorem. Jeszcze coś takiego mi się nie zdarzyło, żeby dzieciaki same przyszły do instytucji, i powiedziały, że chcą pracować. W dodatku z tym konkretnym człowiekiem: z Bogdanem.

3.

Owszem, Bogdan Krok nie kryje rozczarowania, ale na szczęście nie obraża się za tamtą utratę posady dyrektora GOK-u. Chociaż wcale nie umrze tam za biurkiem, jak to sobie wyobrażał. Stracił pracę po trzydziestu latach, bo konkurs na nowego szefa GOK-u był nie do wygrania.

– Ja tu w Ciężkowicach przypadkiem trafiłem na Eldorado zupełnie! Mogę tu realizować pasje artystyczne starszych ludzi i tych młodych. Przy okazji swoje, na które już od dawna nie miałem czasu – mówi na dzień przez pięćdziesiątymi ósmymi urodzinami. – Postanowiłem odplacić temu środowisku, które tak mnie tu przyjęło.

W liceum niezłe mówił wierszyki. Poszedł na egzamin do szkoły aktorskiej. Nie przyszło mu do głowy, że bez lekcji u pani profesor albo stażu w teatrze nie da rady. – W słodkiej naiwności wiejskiego chłopaka myślałem, że się uda... A to wszystko daleko było, kontakty, pieniądze. Brakło samozaparcia. Brakło tego, żeby ktoś mną pokierował. Postanowił, że pójdzie na kurs dla reżyserów amatorskiego ruchu teatralnego i że będzie pracował u siebie, w domu kultury. I uparcie robił to, co lubi.

W Ciężkowicach, w ówczesnym GOK znajduje pierwszą pracę. Wraca po trzydziestu latach. Zaczyna

w tym samym miejscu, w ratuszu, wypiełgowanym przez unijne pieniądze. Przez dwa lata przygląda się Ciężkowicom i Ciężkowice przyglądają się jemu.

Coraz więcej rozumie i przy okazji zmienia miasto. A przynajmniej rozkopuje jakąś ulicę.

– Można czekać na polecenia albo zacząć kreować rzeczywistość według własnego pomysłu. Ale to nie jest prawda. Bo nie da się zrobić niczego z samym sobą. Ludzie znajdują w tej zabawie w teatr spełnienie marzeń. Realizują swoją wrażliwość. Mogłem to sobie wymarzyć. Późno zrozumiałem, że muszę się bawić z dziećmi i ze starszymi też. I tak sobie pomyślałem: dlaczego tego nie dać z siebie?

Spotykam go w biegu, pomiędzy pracą radnego w rodzinnej wsi, oprowadzaniem w Muzeum Przyrodniczym, planem filmowym z dziećmi, imieninami u seniorów, warsztatami dla dzieciaków z gminy i rozliczeniem, które musi oddać przed urlopem. „Jesienią będzie spokojniej”, mówi.

Kombinuje praktycznie. I bliżej mu raczej do marzenia dyrektora Sanka o obywatelskim zaangażowaniu.

– Seniorzy, którzy robią tu teatr, nic nie muszą. Jeśli chcą się realizować, to trzeba reagować. Muszą się czuć współautorami. Nie można nimi przedstawiać, jak się chce. Człowiek chce mieć satysfakcję z współtworzenia, a nie tylko odtwarzania. No i muszą się

lubić albo chociaż tolerować. Zrozumienie przyjdzie później.

Ale jest jeszcze inna ulica, którą rozkopuje. Myślę o niej, gdy widzę, jak pracuje z maluchami na warsztatach pracy z kamerą. Ośmiela, zachęca i już za chwilę wszyscy chcą trzymać klaps i przeprowadzać wywiady. – Tak. Nie chcę, żeby miały poczucie, że są takimi wiejskimi dziećmi, jak ja na tych egzaminach w Krakowie.

4.

Któregoś dnia seniorzy skupieni wokół Koła Gospodyń Wiejskich siedzą przy kawie. Ktoś rzuca: „Zróbmy sobie kolędowanie”. Potem zabierają się za teatr. Dyrektor Sanek przysłała im Bogdana Kroka.

Prawie wszyscy są na emeryturze, za pracę nie tęsknią, bo i tak na nic nie mają czasu. – To są ludzie, którzy robią jeszcze inne rzeczy: działają w stowarzyszeniu, w Kole Gospodyń, robią dożynki, ktoś jest strażakiem, ktoś śpiewa w kościele. Tak to jest, że jak człowiek już raz zacznie, to tak go ciągnie – mówi Bogdan Krok.

Gdyby nie zaczął rozkopywać ulicy, może dziś nie planowaliby kolejnych przedstawień, ciesząc się z tego, co już udało im się zrobić. – Ludzie zobaczyli, że mogą na mnie liczyć, ale i ja chciałem się przekonać, że mogę liczyć na nich. Że jak się za coś weźmiemy, to dokończymy. Tak to dwubiegunowo powstało.

– Od słowa do słowa, telefon, „przyjedziesz?” – Halinie Wojnie, prezesce Stowarzyszenia Cieszko, które zawiązali, trudno odmówić. W latach pięćdziesiątych. w ciężkowickim „Sokole” starsza siostra też grała. – Dlaczego znowu nie spróbować? – myśli. Bogdan Krok pisze scenariusz „Próby generalnej”.

To półgodzina sztuka, na rozgrzewkę, o której mówią, że miesza się z życiem.

Premierę zaplanowali na Dzień Matki. – Czekamy, czy ktoś przyjdzie, a tu takie tłumy, że nie było gdzie usiąść – opowiadają.

Grają prawdziwych ludzi, którzy robią przedstawienie. Trwa próba generalna. Reżyser, w tej roli Bogdan Krok, czeka na aktorów i nikt nie przychodzi. – Bogdan się denerwuje. Kiedy ktoś w końcu się pojawia, nie mogą się dogadać. Potem fryzjerka, potem krawcowa, a na końcu ja przyszedłam. Krowa mi się miała cielić, to się spóźniłam – opowiada Józia Gąsior. – Wszyscy w końcu przyszli. I jeszcze Rysiu, co grał takiego pajacyka.

– Jakiego pajacyka? To mój kochanek był! – śmieje się Halina, sceniczna Pędzichowska. – Jak tylko Rysiu, który jest niższy ode mnie, stanął obok na scenie, to już się ludzie śmiali. Jako Pędzichowska miałam odegrać rolę Kunegundy, a Rysiu Dagoberta. Mój mąż zastaje nas w scenie sypialnianej, a reżyser się denerwuje, bo Rysiu siedzi daleko ode mnie. Jak

to tak można zdradzić, jak się siedzi pięć metrów od siebie!

Parę miesięcy później, już wspólnie, wybierają następną sztukę, „Kandydatki na żonę” Andrzeja Dembończyka. Tym razem ról jest mniej, ale publiczność znowu się śmieje.

– My tu mamy ograniczony dostęp do teatru, bo daleko. Parę osób pojechało do Krakowa na „Arszenik i stare koronki” z Anną Polony. Kobiety przyjechały i mówią: „No fajnie było, ale nie ma to jak wasza sztuka!” – opowiada Halina Wojna. Aktorzy cieszą się, bo najważniejsze, żeby podobało się ludziom. – Największe szczęście, to jak ci, których nie znamy, mówią: „Grajcie dalej”.

Najstarsi w grupie są państwo Gąsiorowie: gospodyni domowa, mistrzyni wieńców dożynkowych i jej mąż, emerytowany listonosz.

– Żona mnie namówiła albo ja żonę – śmieje się Władysław. Razem z Józią mieszkają na przedmieściu, więc jak już mąż przywozi żonę, to nie chce siedzieć beczynn timer. – Miałem wesołe granie. Ale musieliśmy od początku do końca uważać, kiedy wyjść, kiedy co powiedzieć. Inni powiedzieli i poszli.

– Nawet nie – mówi żona, gdy pytam o tremę. – Nie trzeba wcale na ludzi patrzeć – dodaje.

– A nie mów, Józia, bo jak się wyjdzie na scenę, to jest. Tak sobie mówiłam, że co to taka mała rola,

a wyszłam na scenę i zapomniałam, co mam mówić – odpowiada Grażyna Zandman, nauczycielka muzyki i plastyki na emeryturze.

W „Kandydatkach na żonę” gra dziewczynę, która namawia głównego bohatera, żeby ją malował nago, bo chce mu pozować i w ogrodzie, i na łóżku. – W pewnym momencie na próbie poczuła, że to za mocne – opowiada Bogdan Krok, reżyser i odtwórca głównej roli. – Do połowy było świetnie, wznosząco, a potem kryzys. Że co ludzie powiedzą. I próbowała wyhamować. Mówiliśmy, że przecież nie gramy siebie. Że to tylko teatr.

– Tylko niech pani nie pomyśli, że jestem niemoralna – także i mnie woli o tym zapewnić.

Tutaj ludzie odbierają aktorów serialowych na serio, więc co się dziwić, jak potem i nam mówią: „oj, to pewnie w nich jest” – opowiada Bogdan Krok. – Oni potrafią zagrać i narazić się na to, że może ktoś coś sobie pomyśli. To ludzie z talentami, o których w ogóle nie wiedzieli. Na przykład pan Stanisław – no, zwierzę sceniczne!

Stanisław Wiatr to emerytowany pracownik gazowni i śpiewak w kościele. Zagrał w obu przedstawieniach.

– Pewnie dlatego się nie wstydzę, bo msza to też występ – przyznaje.

– Ja bardziej bym się stresowała w kościele, bo tutaj to jest zabawa. Chociaż jak zesłam po pierwszej

scenie, nie umiałam powiedzieć, czy dużo jest ludzi na widowni – odpowiada Aneta, najmłodsza z grupy, w „Kandydatkach” gra Różę, wybranekę głównego bohatera.

– W kościele wchodzi wątek modlitwy, nie ma gry, jak tutaj – odpowiada Stanisław.

– Tej pierwszej roli to on nawet specjalnie nie musiał grać. Tak jakbym go słyszała. A z tej drugiej, to teraz odzywki w codziennym życiu wstawia. Jak sobie ćwiczył, czytałam mu role innych i wiem, co odpowiedzieć – śmieje się Małgosia, jego żona.

– Pewnie, że jest trochę tak, że lepiej siedzieć na widowni. Ale jest potem satysfakcja. Z siebie trzeba coś dać – uśmiecha się Stanisław. – Póki można.

– Po „Próbie” do Stasia i jego scenicznej żony poszła znajoma i mówi jej, że gratuluje męża – śmieje się Marek. To emerytowany nauczyciel fizyki, znawca kwiatów i obecnie strażak. W „Kandydatkach” gra służącego.

– Uważam, że aktorzy drugoplanowi, jak ja, są bardziej potrzebni niż pierwszoplanowi. Ludzie, którzy podpierają coś, mają więcej czasu widzieć pozostałych i mówić, co się podoba, a co nie.

Pierwszej sztuki nie przećwiczyli w całości. Bo czyjeś imieniny albo urodziny, albo inna ważna uroczystość. – O przyjaźń tu chodzi, o nic wielkiego – mówią.

Nikt tu nie mówi: „Słuchaj, masz zagrać to tak”. Tylko: „Spróbuj, a może tak, a ja bym to widział inaczej”. Ponad wszystko cenią to, że się na siebie nie obrażają, ani za krytykę, ani za uwagi.

Na wszelki wypadek o polityce nie zaczynają.

– My jesteśmy prawdziwymi Polakami, czyli takimi, którzy cenią zgodę. Polak wieczny warchoł to już przeżytek – wtrąca Halina.

– Czasem myślimy, że dobrze byłoby sprzedać trochę tej naszej energii władzom, żeby nie skakali sobie do oczu. Bo zgoda buduje – mówi Wanda.

– Kiedy oni skaczą, to skaczą, a potem też się integrują – dodaje ktoś.

Aż w końcu, na trzy dni przed premierą, zarządzają: koniec dogadywania, koniec uwag. Grają tak, jak się wyuczili.

Na widowni są prawie wszyscy. Ksiądz proboszcz także, choć przeprasza, że na drugą premierę nie dotrze. Pyta tylko, czy nie będzie niemoralnych rzeczy. Stanisław Wiatr wyjaśnia:

– Chodziło o to, żeby nie było związków tej samej płci. Dodaje: – Nie zagrilibyśmy. Nie chcemy nikogo szokować. Chcemy tylko, żeby się ludzie śmiali.

– Żeby każdy chętnie do nas przyszedł – przytakuje Halina.

– Pani Wrzosowa z tymi biodrami, ledwie babina chodzi. I przysłała! Mówi: „Ja tamtym razem byłam i teraz też dwa razy”. Tak się jej podobało. I pyta, kiedy następne będzie – opowiada Stanisław.

– Ludziom się tak wydaje, że już i nowa sztuka – śmieje się Grażyna.

– Następną wybierzemy tak, żeby było więcej postaci, bo chcemy jak najwięcej ludzi zaangażować – dodaje Halina.

Przed premierą „Skąpca”, którego wystawiają dzieciaki, Bogdan Krok prosi: – Ratujcie, kobiety, bo sobie nie poradzę z kostiumami. Pojechałem z żoną do Gorlic poszukać w ciucholandzie koszuli dla siebie i przy okazji ubrania dla Harpagona. A tu trzy panie z grupy seniorów już nam stroje wybierają! Młodzi z grupy „Synapsy” robią seniorom plakaty i promują na Facebooku.

5.

Właśnie mija rok, kiedy Dominika z przyjaciółmi ją założyli. Nie może już inaczej.

Nie wie, jak by to było bez tych wszystkich synapsowych prób. Rodzice namawiają ją, żeby dała sobie z tym spokój, bo ma jeszcze szkołę muzyczną i przed sobą test gimnazjalny. – Trudno mi było trzymać się swojego zdania i bardzo trudno się rozdzielić.

Bo akurat, kiedy mieliśmy próby „Skapca”, to w szkole robiliśmy operę.

Mieli spotykać się w ratuszu raz w tygodniu, przychodzą codziennie. Przyjeżdżają rano, także ci z okolic, z Bruśnika i Jastrzębiej.

Próbują wciągać innych. Nie jest łatwo, bo dzieciaki nie chcą zwracać na siebie uwagi i siedzą w domach. Różnie było też w ich gimnazjum. – Niektórzy niby krytykowali, ale widać było, że też chcieliby przychodzić – mówi Dominika.

– Jak jedna osoba się przełamie, to pociągnie ze sobą kolejne. Natalia też na początku nie chciała. Bała się iść na pierwsze spotkanie – Dominika patrzy na przyjaciółkę. – „Synapsy” cię zmieniły!

Nagrali piosenkę pt. „Magia”. Śpiewają o sobie i o tym, co się im zdarzyło w zeszłym roku.

Zacząło się od ogłoszenia. Poszukiwana młodzież, która sama napisze i wystawi w terenie spektakl. Zgłaszają się, każdy z innym pomysłem. Zbierają miejscowe legendy ze Skamieniałego Miasta i powstaje „Teatr na Diablim Boisku”. Nie chcą przerywać tego spotkania. Ze sobą i panem Bogdanem, jak go nazywają. Tym razem sami przychodzą z pomysłem kolejnego spektaklu. Wybierają „Skapca”, którego oglądają w tarnowskim teatrze.

Nawet Bogdan Krok się dziwi. – No dobra, to chcecie? Chcą robić po swojemu.

Tną, dodają, montują sceny tak, żeby ludzie zrozumieeli wątek. – Mówcie swoim językiem – zachęca

Krok. Zamieniają więc niektóre słowa na język, który rozumieją. Zamiast: „ochędożyć”, mówią: „uprzętnąć”. Krok ma zagrać Harpagona. Jest najstarszy, pasuje. Resztę ról obsadzają zgodnie z intuicją swoją i opiekuna.

– Marianna nam wyszła odlotowa, bo ta dziewczyna taka była!

Mają kostiumy, malują twarze na białą. Teraz szukają większej sali w okolicy. Przekonali się, że ludzie chcą przychodzić.

Od września część z nich wyjeżdża do liceów w Tarnowie.

– Nie puścimy tego! Umówiliśmy się, że będziemy przyjeżdżać w piątki i spotykać się w soboty.

Na wszelki wypadek, gdyby jednak musieli, robią w wakacje projekt „Kreatywne Synapsy” i zapraszają nowych ludzi. – To ważne, żeby nie tworzyć tu wrażenia, że my jacyś wielcy artyści. Ani my artyści, ani my tylko widzowie – mówi Bogdan Krok.

– No pewnie, że nieraz myślę, że mnie po prostu olewają! Jedna próba, druga i nic. Ale najgorsze to puścić focha, jak oni to mówią. Trzeba to przetrwać. Nie ma wszystkich? To robimy próbę z tymi, co są. Potem siadamy, rozmawiamy i czuję, że coś się zadziało. Muszę nieraz dokonywać manewrów, pedagogicznych, i dydaktycznych, i socjologicznych, żeby grupa się trzymała. To, co robimy to tylko narzędzie. Ważne jest to, że oni się lubią, że ich to ubogaca.

Wydawało mi się, że dzieci teraz to takie „hej do przodu”. Technologicznie przeskakują mnie sto tysięcy razy. Jest tu chłopak, który jak chciał mi opowiedzieć o swoim nowym pomysle, to zwracał się do kolegi i ten do mnie. I niedawno mi mówi dopiero: „A wie pan, że ja po raz pierwszy w życiu nie wstydziałem się zadzwonić i zamówić pizzę przez telefon?” Różne rzeczy obserwuję. Takie małe cuda.

Prace trwają.

★

Ciężkowice, 97 km od Krakowa, 2454 mieszkańców. Największa atrakcja turystyczna to Skamieniałe miasto – wąwozy i ostańce z piaskowca owiane są legendami o czarownicach i rycerzach. Wśród starszych mieszkańców jedna z części miasta funkcjonuje nieformalnie jako osiedle Zazdrość – ślad po skomplikowanych stosunkach polsko-żydowskich.

Marcin Koczur (ur. 1984, Wadowice)

Uczy angielskiego i włoskiego w Krakowie.

Tam mieszka. Student Polskiej Szkoły Reportażu.

Marcin Koczur

Józefów, czyli jak to zrobić bez pompy

Więcej jest tylko Nowej Wsi, Dąbrowy, Dąbrówki, Zalesia i Podlesia. Jeżdżąc po całej Polsce, Józefów znajdziemy ponad sześćdziesiąt razy. Najczęściej w łódzkim (ponad dwadzieścia). Dużo jest ich też w mazowieckim i lubelskim. Na przykład w okolicach Biłgoraja. Tam leży zresztą i Warszawa, część wsi Rzerzyce.

Nie pomaga fakt, że Józefów podwarszawski na stronie portalu Nasze Miasto okrasza się zdjęciem fontanny z Lubelszczyzny. Cuda na kiju. Who is who?

– Aha, ale to nie ten pod Warszawą? – pyta mnie kobieta w kasie dworca Kraków Główny i klika szybciotko sześć razy, jak gdyby zawiesił się jej system. Ja tymczasem przyglądam się obrazowi Matki Boskiej Częstochowskiej, opartemu o ścianę boksu. Zupełnie jak gdybym go widział po raz pierwszy.

– Halo?

– Nie. W powiecie biłgorajskim. Przepraszam, a ta Madonna to pani czy państwowa? – dopytuję.

– Koleżanka sobie do pracy przyniosła. To on jest Roztoczański. Ma pan opcję jazdy z tylko jedną przesiadką. W Jarosławiu. Czternaście godzin nocą. Jest też opcja optymistyczna. Dziesięć godzin. Wtedy przesiadki cztery. W... chwileczkę...

Próbuję zrozumieć to załamanie czasoprzestrzeni, które sprawia, że przesiadając się częściej, zaoszczędzę aż cztery godziny, kiedy nagle słyszę:

– O, jeszcze! Tylko sześć godzin. Dwie przesiadki. Odjazd po czwartej rano. Drogo będzie...

Im bliżej Józefowa, tym pociąg, a później szynobus, sunie coraz wolniej. Im dalej, coraz rzadsze kontrole biletów i coraz częściej pasażerowie ze sobą rozmawiają. Kilka stacji za Jarosławiem konduktor też wdaje się w pogawędkę o pogodzie. Kontroli jeszcze mniej.

Na stacji Józefów Roztoczański wysiadam tylko ja. Wita mnie delegacja trojga umorusanych machających brzdąców. Przebijam się przez wysokie trawy i, kiedy to piszę, sam nie wiem, czy ktoś kiedyś nie odkryje, że faktycznie były skarłowaciałe. Łapię stopa. Siedzę. Akurat w ładzie, która się zatrzymała, nie ma pasów. Jest za to radio, a w nim przebój Zenka Martyniuka.

Zachodzę do Delikatesów Centrum w poszukiwaniu lokalnych gazet. W rubryce PRACA „Nowej Gazety Biłgorajskiej” poszukuje się kilku osób do zbioru tytoniu. Przez telefon na pytanie „Ile?” dowiem się tylko,

że ośmiu facetów. Jeden chłopak ogłasza, że chętnie pozbiera tytoń. Nie odpowiada, kiedy dzwonię. Nie oddzwania. W gazecie można też znaleźć ogłoszenia o sprzedaży desek: barlineckiej, suchego jesionu, akacji na huśtawki i lipy na ule. Jest poza tym oferta sprzedaży glebogryzarki, śrutownika, wariatora i opony do kombajnu. Dużej. Ktoś próbuje się pozbyć młodych samiczek królików. Obiecuje, że są czarno-białe, zdrowe i bardzo plenne, a ja uczę się nowego słowa. Komuś niepotrzebny jest „podbierak do gryki z chederem”. Wyszukuję w przeglądarce hasło „cheder”. Uzyskuję odpowiedź, że to knajpa na krakowskim Kazimierzu. Tylko przypadkiem wpadam na „heder” bez „c”. Część kombajnu.

Po ilości ogłoszeń w rubryce KUPIĘ popyt w okolicach Józefowa jest raczej mały. W lipcowym wydaniu poszukiwane są: drewniany wóz konny, czterogwiazdowa zawieszana przewracarka i rozplodowe knury. Dwa. W dwóch różnych ogłoszeniach, ale za to numer telefonu ten sam.

– Ja bym w innym Józefowie mieszkać nie chciała – mówi pani Krystyna, którą zagaduję w sklepie. – Pracy nie mam, ale w którym Józefowie bym ją znalazła? Tu kocham męża. W małym mieście, proszę pana, tinderzy nie działają. Trzeba się trzymać tego, co się udało upolować.

Faktycznie, w dziale MATRYMONIALNE aktywni są tylko trzej lowcy. Każdy szuka chętnych na seks.

Pierwszy stawia wymaganie „większego biuściku”, ale daje nadzieję, że „się dogadamy”. Drugi chciałby przez telefon. Trzeci szczerze przyznaje, że potrzebna mu jest „kochanka-sponsor”.

Zbliżam się do centrum miasta. Kobieta w informacji turystycznej wyraźnie ożywia się na mój widok. Wiem to, bo po chwili zawieszenia nad krzyżówką znowu aktywnie żuje gumę. Pyta, czy mam smartfona i zachęca do zainstalowania aplikacji. Aplikacja już mi wszystko opowie o okolicy. Ona sama zaś zadba o suspens. Postara się nie zdradzić zbyt wiele z tego, co mnie dzisiaj spotka.

- Jakież noclegi?-zaczynam.
- Trzeba dzwonić i pytać.
- To znaczy? – staram się ciągnąć rozmowę.
- Może być ciężko. Bo sezon. Trzeba podjechać.
- A dokąd?
- Susiec może. A pan jest samochodem? – bardziej twierdzi, niż pyta.
- Niestety nie.
- To może być ciężko.

W ciągu pięciu minut padają jeszcze słowa: „karłowolne”, „rozkładu nie mam”, „to sobie pan znajdzie w Internecie”, „tak mi się wydaje” i na pożegnanie już nie „może”, ale po prostu „będzie ciężko”.

Z wyrytym w głowie „będzie ciężko” dzwonię od razu na numer podany na jednym z rozkładów. Chciałbym mieć pewność, że wrócę do Krakowa.

– Kraków? – słyszę po drugiej stronie. – A to już nieaktualne.

Na ławce józefowskiego rynku przystępuję do analizy mapy. Dokoła kręci się wielu rowerzystów. a z mapy faktycznie wynika, że te tereny to dla nich gratka. Niedaleko przebiega szlak „Green Velo”. Impionująca inwestycja prowadząca przez Podlasie, Lubelszczyznę, Podkarpacie, województwo warmińsko-mazurskie i świętokrzyskie pochłonęła 274 milionów złotych.

– Myślałem, że podejdzie i pogada – woła z ławki obok, niby nie do mnie, pan Lucjan.

– Dzień dobry. Ja właśnie żeby pogadać – od razu się przyznaję.

– O, no i dobrze. Jaką furą pan tu przyjechał?

– Pociągiem z Krakowa. Dwie przesiadki. Na końcu stopem ze stacji kolejowej do CPN-u przy rondzie.

Poprawia firmową czapkę z daszkiem i zamyśla się, jak gdyby szukał na mapie, gdzie Kraków, gdzie Józefów, gdzie CPN.

– Co by pan chciał wiedzieć? – pyta śpiewnie, a ja przypominam sobie, że stąd już znacznie bliżej do Lwowa niż do Warszawy. Służby celne w ogłoszeniu wywieszonym przed urzędem gminy za naszymi plecami ostrzegają przed groźnym samogonem z Ukrainy. Mieszkańcy wiedzą, żeby nie pić szczególnie tego z targu, w plastikowej butelce po oleju.

– Może zaczniemy od tej fontanny na środku rynku? – kontynuuję. – Pan widział, co na niej stoi? Bardzo piękna. Taka z pompą.

– Zwierzyna na niej, panie. Lokalna. W końcu jej dali pić. Kilka lat bez wody stała. I po co takiej pompa? Pan zna takie powiedzenie: „Zesraj się, a postaw się”?

– Słyszałem.

– No to my się kilka lat temu właśnie zesraliśmy. Fontanna stanęła, ale już na wodę nie było sianka. Dziś z Unii płynie kasa, a z fontanny woda. Przeczyściła atmosferę. A która fura to pana?

– Nie mam. Nie pamiętam tych zwierząt z fontanny. Zerkniemy?

– Ryś, dzik, jeleń, orzeł, głuszec, wilk, lis, konik polski. Pan tu je podobno znajdzie, jak pojeździ po okolicach. Na rowerze najlepiej.

Ryś i dzik

Tym razem ja jestem odpytywany: – Widział pan kiedyś rysia?

– Chyba tylko w zoo – przyznaję, choć i tego nie jestem pewien.

– Mówią, że w Puszczy Solskiej, o tu, niedaleko, można spotkać na żywo. Ale nie znam nikogo, kto by się tym pochwalił. Ryś poluje w nocy. A w nocy Józefów po bożemu śpi.

Zagadany o skojarzenia z dzikiem, pan Lucjan pokazuje palcem na pokaźną już grupkę stojącą pod jeszcze zamkniętym sklepem. Właśnie organizują składkę. Tłumaczy, że mimo wspólnych zainteresowań, nie rozmawiają z nim, bo to młodsze pokolenie. Poza tym oni wszyscy żonaci, a on się nie ożenił. Nie było z kim. Czas spędza na ławce w rynku. Kilka razy już zapłacił za to siedzenie.

– Co zrobić? – zastanawia się.

Bywa, że wybierze się latem nad zalew popatrzeć na łydki. Jest przekonany, że tam toczy się prawdziwe życie. Pytam o zimę.

– My tu, panie, jak przyroda. Zimą śpimy.

Jeleń

– Tak mi się magicznie kojarzy. Religijnie. Mieliśmy tu tygiel. Przed wojną jeszcze. Pan zobaczy, jest cmentarz żydowski. Groby tu panu więcej powiedzą niż ja.

Rok temu do Józefowa przyjechali Niemcy. Postawili pomnik („Pamięci ponad 1500 żydowskich dzieci, kobiet i mężczyzn z Józefowa zamordowanych na tym terenie w dniu 13 lipca 1942 roku przez niemieckich policjantów ze 101. Rezerwowego Batalionu Policynego z Hamburga. Z pokorą kłaniamy się ofiarom. Policja z Hamburga 2016”). Po Żydach został w polu kirkut, po Niemcach proch.

– Dzisiaj z nimi dobrze żyjemy, bo dobrze idzie chemia z Niemiec. Pan podejdzie tam pod kościół i zobaczy. Kościół z zewnątrz piękny. W środku uprzedzam, że nie wiem, bo ostatnio ksiądz wyczytał, że z Garncarskiej tylko trzy osoby do sprzątnia przyszły. Jeszcze tylko Ukraińcy niech pomnik naszym postawią za Wołyń...

Po drodze do kościoła mijam sklepiki z włoskimi lodami. Tam przesiaduje największa grupa mieszkańców, jaką spotykam do tej pory. Kościół zamknięty, bo już po mszy. Pod kościołem ogłoszenie. A w zasadzie komunikat. Będą sprzedawać proszki produkcji niemieckiej. Takie, których nie przesypuje się w Polsce. Jest dodatkowa informacja, że będą miały odpowiednią datę ważności. Przywiozą też żel do prania w pralkach automatycznych. Cztery litry wystarczą na 106 prań. Deszcz nie stanowi problemu. Tylko kierowca może się spóźnić do 30 minut. Klienci muszą stawiać się punktualnie. To znaczy być na miejscu między czternastą a czternastą dwadzieścia. Sprzedaż z samochodu dostawczego pod kościołem. I dopisek: „Będziemy na pewno”.

Bielik

Pan Lucjan pływał na łodziach podwodnych. Orzeł kojarzy mu się najpierw z tym polskim, w godle. Zaraz

potem zaczyna opowiadać o wieży widokowej wybudowanej niedaleko w polach.

– Tam spotka pan zakochanych, a nasi chłopcy przed wyjazdem do Afganistanu ćwiczyli niedaleko wojnę. Przy wieży jest kamieniołom. Już nieczynny. Przynajmniej teoretycznie. Praktycznie to ludzie ciągle chodzą i coś tam ciągle łupią. Podjazdy sobie podobno robią. Znani byliśmy z kamienia.

– A jaką furą pan przyjechał?

– W Krakowie ciężko zaparkować. Nie mam fury.

– Ja miałem kawasaki. A mówią, że tu Polska B.

Ja myślę, że my jesteśmy od A do Z.

Miniatura Polski. Taka matryoszka. Też zniknęliśmy i wybiliśmy się na niepodległość. Po powstaniu styczniowym zabrali nam prawa miejskie. Zemsta. Dopiero od 1988 roku znowu jesteśmy znów miastem. Trochę jak taki stary-maleńki. Pan się rozejrzy. Pomników jak psów.

Po spacerze w rynku, zbyt pochopnie osądzając, można by stwierdzić, że na miasto składa się jedno, najwyżej dwa pokolenia. Po czterdziestce i sześćdziesiątce.

W letni dzień nad zalewem, gdzie pan Lucjan lubi podziwiać łydki, życie jednak kwitnie. On smaruje ją, ona smaruje dzieci. Ratownik krzyczy, że kilka osób pływa za bojką. Starsi narzekają, bo kolejki do baru na plaży powinny być dwie. Jedna po wszystko, a druga po piwo. Obie idą równie mozolnie. Nie spodziewano się tak przyjemnego dnia i obsługi jest za mało.

Przy barze plakat z gościem w futrzanej czapce i z widłami: „Czy dasz radę uciec?”.

– Fajny pomysł, co? – zaśpiewuje do mnie mocno już opalona dziewczyna, delikatnie po trzydziestce.

– Słucham?

– Widzę, że się pan przygląda tej imprezie. Ja bym spróbowała.

„Wydostań się z obory bimbrownika” – zachęcają złowieszczco organizatorzy zabawy w oddalonym szesnaście kilometrów stąd Guciowie. Plakat zapewnia, że impreza odbywa się w realnym świecie. A kto wygra, napije się samogonu „Wilgoć wężozu”.

– Przepraszam, nie jestem z Józefowa. Guciów to nie Józefów?

– Niedaleko. Też nie jestem stąd. Tutaj nad wodę zjeżdża się cała okolica. Pan też samochodem?

– Niestety nie. Pociągiem, busem i stopem. Dziś wyjeżdżam.

– Pan wie, żeby dzwonić i rezerwować bilet? Jak bus ma fulla, to nie zabierze – dodaje nieco złowieszczco. – Trzeba dzwonić i pytać.

Głuszec

Jak rysia, tak i głuszca pan Lucjan nigdy nie spotkał. Zastanawia się, skąd nazwa ptaka. Szukamy w Internecie. To znaczy ja szukam, a on pyta:

– A która fura to pana? O nie, mówił pan, że nie ma samochodu.

– Głuszec, panie Lucjanie – czytam – bo w jednej z faz śpiewu godowego wydaje z siebie dźwięk kosy ostrzonej o kamień i wtedy na sekundę głuchnie.

– O kamieniu w Józefowie już panu opowiedziałem. Może teraz o tym, jak się w tutaj głuchnie. Bibliotekę pan widział? O tam, w synagodze. Jak człowiek niesprawny, to przywiozą książkę do domu. Dbają o kulturę tu u nas. Do tego festiwale, rocznice, obchody. Że się nie można nudzić, to za dużo powiedziane. Ale że można się nie nudzić, to już bliżej prawdy. Żyje się u nas dobrze, bo mamy powietrze. Wcześniej pracowałem na Śląsku. W Kędzierzynie-Koźlu futryny w oknach od razu na brązowo malowali. Przeszedłem się na spacer i zaraz takie – mlaska – takie coś w buzi miałem. Kuzynki córka przyjeżdża ze Śląska tu w okolice na obóz. Turystów trochę jest. Życie nam ratują, bo byśmy w tej puszczy zbankrutowali, a potem zarośli.

Lis i wilk

– Skąd to pan do nas przyjechał? – dopytuje pan Lucjan i przypominam sobie badania amerykańskie, które z komputerowej analizy przebojów ostatnich trzydziestu lat wyciągnęły, że zaimek „my” coraz częściej wypierany jest w hitach przez „ja”.

- Z Krakowa.
- Bezpiecznie tam? Tutaj ludzie krzywdy nie zrobią. Dostać w mordę, pan nie dostaniesz. Najwyżej okradną. Zdarza się. Stadnie żyjemy, bo nas historia nauczyła, że w kupie siła.

Konik polski

22 lipca odbył się w Józefowie jeden z etapów międzynarodowego festiwalu „Śladami Singera”. Miasto pojawia się u noblisty w opowiadaniu „Starzec”. Zmęczony życiem Reb Mosze Ber chce wrócić do miejsca, w którym spędził pięćdziesiąt lat. Idzie tam z bardzo daleka na piechotę. Znosi głód, ból i niepogodę. Marzy mu się spokój i powrót do szczęśliwego życia.

Wrócił też konik.

– Chociaż wcale miało go tu nie być. Pan słyszał, że go wywieźli do Rzeszy? Ale on jest długowieczny i do Polski wrócił. Odporna rasa.

Ostał się, jak Józefów, jego też – mówi Lucjan – Niemcy mieli zniszczyć, a się nie dał.

– Niestety, panie Lucjanie, będę się już chyba musiał zbierać. Czas obmyślić plan powrotu.

– No, dziękuję, że pan chciał pogadać. Rzadko tutaj takie atrakcje. Tylko niech pan jeszcze pokaże, który to samochód jego. Ten, ten, czy ten?

Józefów, 87 km od Lublina, 2 512 mieszkańców. W 1943 Niemcy planowali wymordować wszystkich mieszkańców w ramach zemsty za śmierć dwóch oficerów, ale nie zrealizowali planu. Dzisiaj jedno z miejsc na trasie międzynarodowego festiwalu „Śladami Singera”. Popularna plaża nad zalewem w wyrobisku po kopalni piasku.

Michał Szczęch (ur. 1985, Krosno Odrzańskie)
Absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie
Zielonogórskim, studiował też w Polskiej Szkole
Reportażu. Dziennikarz prasowy.

Michał Szczęch

Cosuchovia Dance

Mieszkańcy nie pozwolili, by Kozuchów, kiedyś stolicę księstwa, przecięła trasa Berlin – Wrocław. Tak 200 lat temu został na uboczu. Dziś mówią: – To największe nieszczęście, że nie jesteśmy nawet powiatem, tylko gminą.

Nie ma tu biznesmena, co by ranczo postawił albo pałac. Kiedyś tańczyło się w restauracji na wodzie. Stała przy gliniankach. Zburzyli. Zamknęli dyskoteki. Nie ma pubu. Poprzedni burmistrz otworzył muzeum miasta. Radni zlikwidowali po roku, gdy przestał być burmistrzem. Uznali, że to przechowalnia etatów. Po ucieczkach dzieciaków z kościoła na niedzielne poranki filmowe nad drzwiami nieczynnego już kina został napis: „Kino Uciecha”. Aktora nie ma żadnego. Mieszkał dżezmen Miśkiewicz. Wyjechał. Zdarzają się kameralne spotkania przy muzyce klasycznej w dawnej kaplicy zamku. Większych nie robią, odkąd w 1986 roku w kaplicy runął sufit. Przyjeżdżają muzycy z Filharmonii Zielonogórskiej. W sierpniu przyjadą Hiszpanie. Zagrają mszę flamenco.

Odbyło się Święto Jabłka. Tutejsi rozstawili kramy. Produkty regionalne, do bluesa w tle, jadło kilkadziesiąt osób. Popijali sokiem jabłkowym.

Na turnieju rycerskim mieszkańcy paradowali w strojach średniowiecznych, które sami uszyli. Odprawili mszę po łacinie i śpiewali „Bogurodnicę”. Walki rycerzy, oczko w głowie Urszuli Stochel-Matuszak, dyrektorki centrum kultury, ściągnęły do Koźuchowa ponad dwa tysiące gości.

Pierwsza edycja Cosuchovia Dance, gali disco polo – dziesięć tysięcy.

Idziemy w disco polo

Władze miasta znalazły sponsorów. Przygotowały plac. Mieszkańcy nic nie musieli robić.

Dzisiaj wyciągają ręce. Tysiące dłoni. Może uda się dotknąć gwiazdę?

– Będziemy pić! To prosta sprawa! – śpiewa Defis.

– Jesteśmy w Polsce, a tu nie pić nie wypada! – odpowiadają i dorośli, i dzieci.

– To są dobra narodowe: disco polo, klin, schabowe. Dalej wszyscy w górę, sto lat!

Będziemy pić!

– Nie możemy zamknąć się na jeden rodzaj sztuki – mówi dyrektorka Stochel-Matuszak, absolwentka

Akademii Muzycznej w Poznaniu. – Tak robią ci, którzy nie mają aspiracji, by stać się centrum w regionie. Dlatego my idziemy w disco polo, w Cosuchovia Dance.

Na pierwszej gali stanęły budki z piwem. Ale ludzie po alkohol i tak chodzili do Biedronki. W tym roku burmistrz wprowadził zakaz wnoszenia alkoholu z zewnątrz. Pilnują między innymi strażacy z OSP.

W Koźuchowie może nie pije się więcej niż w przeciętnym miasteczku tej wielkości. Ale nie w każdym z dziewięcioma tysiącami mieszkańców jest przeszło pięćdziesiąt punktów z alkoholem. Po dwudziestej nie kupisz chleba, wódkę dostaniesz wszędzie. Z monopolowymi w kamienicach malowanych jeszcze za Niemca konkurują jedynie kwaciarnie (królują wieniec pogrzebowe).

W 2015 roku w gminie Koźuchów przepito prawie trzynaście milionów złotych. W 2016 zamknęła się Biedronka, na trzy miesiące, bo remont. I spożycie spadło o milion (w skali roku).

Miód malina!

Anka ma colę z wkładką. Przemyciła. Żeby stanąć w pierwszym rzędzie, przyszła przed piętnastą. – Czekałam cały rok – emocjonuje się. – Przez jedną noc jestem wolna i nic nie muszę!

Wybiła dwudziesta pierwsza. Anka dalej tańczy.

– Gdy ciało swe wygina, miód malina! – śpiewa Marek Gwiazdowski, lider zespołu MIG.

Sławomir, gdy usłyszał, że wystąpią w Koźuchowie, wsiadł na wózek i przyjechał. Nie ma nogi. Ucięli lekarze, z powodu choroby. Dlatego wcześniej swoich idoli widział tylko w teledyskach. – Jeździłbym za nimi wszędzie, gdybym tylko mógł. Dziewczyny, palmy, luksusowe hotele, jachty, szybkie samochody – wylicza jednym tchem. I wlepia wzrok w nowego jaguara Gwiazdowskich.

– Śpiewają, to mają – wzdycha Anka. Żeby odechnąć, w domu zostawiła męża z trójką dzieci. Przyszła z koleżanką Anetą.

Przy disco polo Aneta się wzrusza. – Śpiewają o miłości... – wspomina szczęśliwe chwile sprzed rozvodu. Nieliczne.

W czwartym pokoleniu

Aneta często biegała po pomoc przed komisję alkoholową.

– Nasza oferta jest ograniczona – mówi przewodnicząca Marta Skiba.

Brakuje psychologa i psychiatry. Bez dwóch tysięcy na rękę nie przyjadą do Koźuchowa. Plany, by otworzyć poradnię, rozbiły się o lokal i pieniądze. Dzięki licznym koncesjom na sprzedaż alkoholu, komisja ma w budżecie 250 tysięcy złotych rocznie.

Wydają je przede wszystkim na utrzymanie dziesięciu świetlic socjoterapeutycznych w gminie. Korzystają z nich dzieci z rodzin dysfunkcyjnych.

Aneta biegała też do Żanety Gąsior, psychoterapeutki od uzależnień, która w Nowej Soli założyła Fundację Na Nowo. Przyjeżdża na kilka godzin w tygodniu, płatnych. Drugie tyle pracuje dla Kożuchowa społecznie, głównie ze względu na dzieci. Gdyby do Żanety nie trafiła dziewczynka, która tnie się temperówką, o pozostałych z gminy Kożuchów pewnie nikt by się nie dowiedział. Aż doszłoby do tragedii. Dziewczynka napisała do koleżanki: „zabijmy się”.

Aneta biegała do Wandy, chodzącej historii trzeźwości. Sąd zabrał Wandzie dzieci. Wtedy zaczęła się leczyć. Dziewięć lat temu zapukała do przewodniczącej Skiby, trzeźwa. Tak alkoholiczka, z której śmiało się całe miasto, założyła AA.

Aneta biegała też do OPS.

W Kożuchowie z pomocy ośrodka korzysta prawie 900 osób rocznie. Przychodzą bezrobotni, ofiary przemocy domowej, alkoholicy, ubodzy, starzy, chorzy. I przede wszystkim matki z dziećmi. Jedno wie, skąd wziąć wzór podania, drugie, w której kolejce stać. Tak wyrasta czwarte pokolenie przychodzących po zapomogi.

Na pomoc i na świadczenia rodzinne (dla ponad 1100 rodzin) OPS wydaje prawie 20 milionów złotych rocznie (połowę w ramach „500+”). Budżet Kożuchowa jest raptem trzy razy większy.

„500+” zmienia kulturę picia

Edyta z salonu kosmetycznego: – Teraz pije się w domach, żeby nikt „500+” nie zabrał. Ławeczki odchodzą do lamusa.

Marta z mięsnego: – Ale Polak Polakowi doniesie...

Edyta: – Wódkę? Marta: – Doniesie, że pije! Z zawiści. Widzę w mięsnym, jak ludzie zaglądają sobie do toreb. Ten, co ma „500+”, kupi więcej kiełbasy. Reszta mu zazdrości.

Mąż się mści i ją bije

Gdy wypłacają „500+”, ekspedientka z monopolowego na rynku wystawia nawet pół tysiąca paragonów dziennie.

Matki zgłaszają komisji, że mężowie pijani, bo zabrali pieniądze. Sąd wysłał na leczenie. Nakaz obowiązuje dwa lata. W placówkach z odwykami (w Ciborzu, Międzyrzeczu) obłożenie. Miną dwa lata i nawet nie zdążą wezwać. I nikt już takich alkoholików nie leczy.

– Przychodzi potem przed komisję kobieta i płacze, że odważyła się złożyć wniosek, a teraz mąż się mści i ją bije – opowiada M. Skiba.

W 2016 roku w Koźuchowie wszczęto blisko sto procedur Niebieskiej Karty.

M. Skiba: – Kobieta nie może odejść. Bo mieszkanie należy do niego. Tylko on pracuje. A ona uwiązana z czwórką dzieci.

Matka Boska ręce rozkłada

Anecie się udało. Mogła odejść od męża, bo znalazła pracę w Niemczech. Opiekuje się starszymi osobami. Tak odkłada na ślub syna, który marzy, żeby zamiast zespołu weselnego wystąpił dla nich sam Zenek Martyniuk.

Były plany, by Zenek zaśpiewał też na gali. Niestety, dla Kożuchowa za drogi.

– Może za rok? – zapowiada ze sceny Paweł Jagasek, burmistrz.

– Ściągnie Martyniuka na Cosuchović Dance i kadencję ma w kieszeni – komentują w tłumie.

To dopiero druga edycja, a tańczy ponad dwanaście tysięcy ludzi. Więcej do parku Poniatowskiego nie wejdzie. Dlatego trzecią galę (tę z Zenkiem) Jagasek chce zorganizować w strefie przemysłowej.

Miejsca tam przecież dużo, bo przemysłu brak.

Padła wytwórnia marmolady, stolarnia, cegielnia, szwalnia, kombinat PGR, fabryka części samochodowych. Po reorganizacjach zlikwidowano jednostkę wojskową. Służyło w niej 400 zawodowych żołnierzy.

Prawie pół tysiąca mieszkańców Kożuchowa zarejestrowanych jest w pośredniaku. W skali gminy – dwa razy tyle.

– Ale liczba jest zawyżona – przekonuje Katarzyna Podgórska z powiatowego urzędu. Wielu zwozi z Niemiec opony, sprzedają je potem na czarnym rynku, to też praca.

Siedem lat temu policja odkryła w dawnej stolarni nielegalną fabrykę papierosów. W halach znaleźli 30 tysięcy kartonów z podróbkami Marlboro.

Niektórym młodym matkom do dziś trudno znaleźć coś innego niż handel tytoniem na lewo, bo w Kożuchowie nie ma żłobka. W powiecie (prawie 90 tysięcy mieszkańców) jest jeden, w Nowej Soli, oddalonej o 15 kilometrów.

Jest tam też praca w strefie, ale na zmiany, również nocne. Tyle, że ostatni autobus do Kożuchowa odjeżdża o 19.00. Nie ma już stacji PKP.

Przy kościele, w grocie za szybą, stoi Matka Boska. Bezradnie rozkłada ręce.

Musi być lepiej

– Kożuchów to przede wszystkim kościół, zamek średniowieczny, lapidarium rzeźby nagrobnej – Zdzisław Szukielowicz, społeczny opiekun zabytków, zachęca do zwiedzania.

W rynku jest jedna restauracja – „Rycerska”. Lianna, emerytka, dementuje plotki, że drogo. Poszła raz. Za dwa obiady zapłaciła 30 złotych (z groszami), a kotlet był tak wielki, że zakrył ziemniaki i trzy rodzaje surówek.

Po latach wskrzeszono agroturystykę i motel. Uczestnicy Cosuchovia Dance mogli nie tylko się wyspać, ale też skorzystać z dodatkowych atrakcji. Bo Ireneusz Drzewiecki, przewodniczący rady miasta, zaangażował grupę mieszkańców. Osobiście chodził po ludziach. Zbrali prawie pięć tysięcy podpisów, by pieniądze z budżetu obywatelskiego przeznaczyć na glinianki. Wyczyścili już staw, wysypali plażę, zbudowali boisko do siatkówki. Postawią jeszcze grilla, plac zabaw, będą rowery wodne i pomost.

W 2018 roku między gminami wreszcie zaczną jeździć autobusy, głównie do Nowej Soli. Zrzuciły się okoliczne samorządy, w tym Koźuchów.

– Mamy najlepszego burmistrza! – chwali Aneta Muszyńska ze sklepu z ubraniami. – Zgłosiłam, że jest dziura. Przyszedł w nocy, zobaczył. Rano dziury nie było.

Jagasek liczy, że disco polo przyciągnie inwestorów. – Jeden już zainteresował się miastem. Chce stawiać hale produkcyjne – chwali się burmistrz.

W to, że disco polo uratuje Koźuchów, uwierzył w 2016 roku. Na święcie miasta grali wtedy Piękni i Młodzi. W tłumie burmistrz bawił się między innymi z Mateuszem Komperdą, lokalnym dziennikarzem,

też fanem. – Zróbmy galę! – wymyślili wspólnie. Przyklasnęli radni i dyrektorka centrum kultury. Tak zrodziła się Cosuchovia Dance.

– Kiedyś gale odbywały się na wschód od Wisły. Na zachodzie Cosuchovia Dance jest pierwszą tego typu, czyli darmową, otwartą dla wszystkich – opowiada Mateusz. – Ludzie nie chcą słuchać o śmierci, smutku i problemach. Za dużo mają tego na co dzień. Chcą prostej muzyki dla ucha i do potańczenia. Dla tego do zorganizowania gali przymierzają się kolejne miasta, choćby Głogów. Disco polo opanowuje zachodnią Polskę.

W światłach stroboskopów

Burmistrz biega z telefonem po scenie. Prowadzi transmisję live w Internecie. Może za rok do Kożuchowa przyjedzie telewizja i dowie się cała Polska?

– Kiwamy się! Robimy falę! Wszystkie ręce w górę i formujemy serca! – wołają gwiazdy ze sceny. Ludzie kołyszą się, falują, jak zaczarowani. Z nadzieją, że Kożuchów będzie stolicą disco polo zachodniej Polski. – Drugą Kobylnicą albo lepiej! – emocjonuje się burmistrz.

Czy to możliwe, by przebił Kobylnicę, wieś spod Słupska, którą od 2011 roku odwiedzają największe gwiazdy i dziesiątki tysięcy fanów, z okazji festiwalu disco polo? Jagasek w to wierzy.

★

Kozuchów, 137 km od Gorzowa Wielkopolskiego, 9 519 mieszkańców. Miasto o średniowiecznych korzeniach, co roku odbywa się tu turniej rycerski oraz inscenizacja bitwy oblężenia miasta z 1476 roku, a od niedawna wielka gala disco polo.

Monika Prończuk (ur. 1989, Warszawa)

Skończyła europeistykę na King's College w Londynie i stosunki międzynarodowe na Sciences Po w Paryżu. Dziennikarka, tłumaczka, studentka Polskiej Szkoły Reportażu.

Monika Prończuk

Międzyrzec Podlaski

Byłe się mieniło

Adela Biber siedzi przy drewnianym stole w Tel Aviwie i robi pierogi. Liczy je po polsku: – Jeden pieróg, dwa pierogi, jedz synku. Trzy pierogi, cztery pierogi, jedz, bardzo smaczne, z Polski.

Co to w ogóle znaczy, że się skądś jest? Albo że się gdzieś przynależy? Adela mieszka w Tel Awiwie, ale tak jak pierogi, pochodzi z Polski – z Międzyrzeca. Do tej pory nie może przyzwyczać się do izraelskiego klimatu. Tęskni za polską zimą. Mówi po hebrajsku, ale podobno język ojczysty to ten, w którym liczymy.

Jej syn, Shlomo, pochodzi z Tel Awiwu, jego żona jest Żydówką z Syrii, a jej siostra wyszła za Żyda z Egiptu. Wszyscy razem jedzą pierogi w barze Vegas w Międzyrzecu, a Adela, której zdrowie nie pozwoliło na przyjazd, przez komunikator internetowy uczy ich, jak liczyć po polsku. Właściciel baru Vegas tłumaczy – na migi, bo nie zna angielskiego – jak dojść do starego cmentarza żydowskiego.

Albo taka Agata Sawczuk. Mieszka w Międzyrzecu prawie sześćdziesiąt lat, ale urodziła się w Puchaczach, pobliskiej wsi. Rodzina jej mamy pochodzi ze

wsi Szachy, jej wujek nadal tam mieszka. – I dla mnie to jest właśnie najpiękniejsze miejsce na świecie. Tam czuję się jak w domu – mówi.

A Magda Oleksiuk? Pochodzi ze wsi Jelnica. Przez osiemnaście lat mieszkała w Warszawie, teraz wróciła na Podlasie, do Międzyrzeca. – Takie to nasze Podlasie, wymieszane. Ludzie przyjeżdżają, wyjeżdżają – mówi Magda.

W czasie wojny przez pięć lat zniknęło 75 procent rodowitych mieszkańców – Żydów. Dziś Międzyrzec Podlaski to miasto złożone z przyjezdnych z okolicznych miejscowości. I jeszcze Ukraińcy, Białorusini. Tkanka społeczna ciągle się kształtuje.

Brokaciki, cekiny, syrenki

Architektura Międzyrzeca odbija porwaną tkankę społeczną. Na międzyrzeckim rynku stoją: rzeźba Jana Pawła II, pomnik poświęcony pamięci pomordowanych Żydów pt. „Modlitwa” (jak go odsłaniali, władze miejskie postawiły przy nim całonocny patrol policji, ale nic się nie wydarzyło), kawiarenka „Z Kłonowej” oraz taksówki. Taksówkarzy w Międzyrzecu jest czterech. Głównie odwożą pijaków do domów. – Lepsza taka robota niż żadna. Niech on chociaż tych pijaków wozi i pięć złotych zarobi, byleby chłop w domu nie siedział, bo wtedy jest nie do wytrzymania – wzdycha żona jednego z nich.

A z tą robotą różnie bywa. Według spisu ludności z 2016 roku w Międzyrzeczu mieszkają 16 993 osoby, z czego dziesięć procent to bezrobotni. A pokus konsumpcyjnych jest sporo: mieszkańcy mają do dyspozycji trzy Biedronki, Tesco, Carrefoura, Lidla. Kosmetyki można kupić w Rossmannie, można też skorzystać z pięćdziesięciu zakładów piękności. – Tutejsze panie zawsze mają zrobione paznokcie, nie tylko od święta – mówi Magda, która w Warszawie miała własny salon fryzjersko-kosmetyczny. – I zawsze chcą, żeby było kolorowo. W Warszawie to mało która klientka robiła sobie zdobienia na paznokciach. A tutaj brokaciki, cekiny, syrenki – byle się mieniło.

Ławeczka przed blokiem

Jak się bardzo chce znaleźć w Międzyrzeczu pracę, to można. Jest fabryka ciastek Doktora Gerarda, zatrudnia 500 osób. Podobno tam się jeździ na wrotkach, takie są tereny. Są zakłady drobiarskie Wipasz. Jest Meprozet, gdzie produkują maszyny rolnicze.

Ale w fabrykach pracują głównie przyjezdni – Ukraińcy i Białorusini. Polacy nie chcą. A co zdolniejsi młodzi wyjeżdżają. Magda: – Jak się ma dziewiętnaście lat, to człowiek chce coś zobaczyć, przeżyć. Wszyscy wyjeżdżali, to ja też. Wszyscy studiowali zarządzanie, to ja też. Strata czasu i pieniędzy, ale widzę to dopiero dzisiaj. Jak wyjeżdżałam, to tutaj niczego

nie było. Do głowy by mi nie przyszło zakładać własną firmę. W międzyczasie się pozmieniało. Teraz jest jak wszędzie – jak się chce pracować, to się znajdzie robotę. A jak się nie znajdzie fajnej roboty, to można otworzyć coś swojego. Ale żeby zdać sobie z tego sprawę, musiałam wyjechać do Warszawy. Warszawa była taka szybka, przytłaczająca, anonimowa. Wprawdzie mówi się, że tam wszystko jest dostępne – ale tutaj też jest! Brakowało nam przestrzeni, zwłaszcza jak się dzieci urodziły. Mieszkaliśmy na szóstym piętrze w bloku na Ochocie, w małym mieszkaniu. Jak nie było dzieci, to się pracowało dzień i noc i jakoś to życie przelatywało. Mąż pracował w dużej korporacji, miał menedżerskie stanowisko, ja miałam swój gabinet manikiuru. Ale w pewnym momencie powiedział: „Ja nie chcę umierać sam na ławeczce pod blokiem”. Przez osiemnaście lat mieszkaliśmy w tym samym mieszkaniu, a nawet nie znaliśmy sąsiadów! Do głowy by mi nie przyszło, żeby na przykład pożyczyć od nich cukru albo jajek. No więc mąż odszedł z pracy, ja sprzedałam gabinet. Wszystko na jedną kartę. I wróciliśmy.

Jakby nigdy ich nie było

Jeśli stanie się plecami do kawiarenki, na prawo od rynku widać stare, kamienne domy. Stoją jak wyrzut sumienia, przypominają o tych, których już nie ma. Tam właśnie podczas wojny było getto i to

prawdopodobnie do jednego z nich w 1945 roku zapukała Shoshe wraz z mężem i trzyletnią córeczką Adelą, kiedy wróciła z Rosji do Międzyrzecza. Ale to nie był już jej dom ani jej miasteczko.

Shoshe pochodziła z zamożnej międzyrzeckiej rodziny żydowskiej. Zajmowali się wyrobem i sprzedażą futer. Te futra zresztą stały się ich przekleństwem. Nikt z rodziny nie chciał zostawiać pracowni, sklepu, ani pięknego domu – dlatego ocalała tylko Shoshe i jej siostrzyczka Dima, która poszła odprowadzić siostrę nad rzekę. W ostatniej chwili zdecydowała się uciec razem z nią do Rosji, gdzie urodziła się Adela.

Z 12 tysięcy Żydów, którzy przed wojną stanowili 75 procent mieszkańców miasteczka, ocalała zaledwie setka. Reszta zniknęła, jakby nigdy ich nie było. Shoshe zaraz po wojnie próbuje odzyskać swój dom, ale bezskutecznie. W jaki sposób? O tym nie chce mówić. Płacze, ale zaciska zęby i po kilku miesiącach, na początku 1946 roku, wyjeżdża. Nowy polski rząd przydziela jej mieszkanie w Legnicy.

W dzisiejszym Międzyrzeczu niby wiedzą, że wcześniej mieszkali tu Żydzi. Stoi pomnik, raz w roku przyjeżdżają wycieczki z Nowego Jorku. Ale jak spytać się o opracowanie historyczne albo zwyczajnie wspomnienia, to nikt nic nie wie. Nikt się tym nie zajmuje.

Właściciel baru Vegas chce, żeby rodzina Adeli znalazła drogę do cmentarza, ale nie dodaje już, że cmentarz jest zaniedbany. Wprawdzie w 2010 roku miejscowa Ochotnicza Straż Pożarna zorganizowała

akcję odzyskania macew i uporządkowała cmentarz, ale ostatnio zmarł pan, który się nim opiekował – za drobną opłatą od międzyrzeckich Żydów z Nowego Jorku – i teraz nie ma kto się nim zająć.

Życie na godzinę

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Shoshe dociera na Ziemię Odzyskane, w Puchaczach, wsi nieopodal Międzyrzecza, na świat przychodzi Agata Sawczuk. Ma trójkę rodzeństwa. Są dużą, szczęśliwą rodziną. Rodzice to rolnicy. Tata choruje, dzieci muszą więc pomagać w gospodarstwie. Wypasają krowy. Jest biednie, ale Agata czuje się szczęśliwa i kochana. Tylko że chce się uczyć, chociaż serce jej pęka, kiedy musi opuścić swój rodzinny dom – drewniany, ciepły, przypominający dworek. Chce iść do liceum, a najbliższe – w Międzyrzeczu, z internatem. Dojechać do miasta wtedy można było żeleźniakiem, wozem konnym. Teraz nie ma już żeleźniaka, nie ma zresztą też PKS-ów, zlikwidowano kilka lat temu.

Jak dojeżdżają do miasta mieszkańcy okolicznych wsi? Magda Oleksiuk: – Większość ma samochody, kupione za dopłaty unijne i „500+”. Są też prywatne busiki. A jak kogoś nie stać na samochód albo na prywatny busik? To nie jeździ, po prostu.

– Wyfrunęłam z domu i już nie wróciłam. Zawsze chciałam świat naprawiać i stąd pomysł, żeby zostać

radcą prawnym – mówi Agata. I tak od 54 lat praca wyznacza jej rytm życia.

A po pracy? – Wie pani, ja to nie mam za dużo wolnego czasu. Ale moje koleżanki chodzą na kick-boxing, Ninka jest najlepsza, mimo że wśród uczestniczek najstarsza! Kiedyś chodziłam na kijki, czasem pływałam na basenie. Halinka nadal chodzi. A u mnie forma już nie ta, co dawniej.

Agata namówiła też koleżanki na warsztaty malarskie organizowane przez lokalny dom kultury. – Ja też chodziłam, ale denerwowało mnie, że tam też muszę być na godzinę. Całe życie na godzinę: u mnie w kancelarii, a wcześniej na punkcie granicznym w Terespolu, gdzie też pracowałam. To była ciężka praca. Siedem dziewczyn się wykruszyło, a ja zostałam. Moja siostrzenica, Madzia, jest artystką. Bo dla mnie malarka to taka, która jeździ w plener, a artystka to taka, która z duszy maluje. Madzia namalowała mój portret z taką grubą, silną szyją. Powiedziała, że właśnie tak mnie widzi – że ja niby jestem taka silna.

Szczepienia i gwiazdy

Magda Oleksiuk wozi dzieci do przedszkola na wieś, pod Międzyrzec. – Mój starszy syn jest niepełnosprawny, ma zespół Downa. W Międzyrzecu w jednej grupie jest trzydzieścioro dzieci, tam o połowę mniej. I dodatkowo dostał panią opiekunkę, która się nim

zajmuje. Syn się rozwija, lubi tam chodzić. To jest normalne, państwowe przedszkole. Jest mu bardzo dobrze – opowiada. – Ma tu dużo lepiej niż w Warszawie. Przedszkole jest obok lasu sosnowego, są dwa place zabaw. Magda śmieje się, że prawie jak amerykańska szkoła w Konstancinie pod Warszawą – tylko laptopów nie mają. W ogóle z dziećmi łatwiej żyć w Międzyrzeczu niż w dużym mieście. – Na nic nie muszę czekać, szczepienia od ręki – jak się przysłałam zapisać, to pielęgniarka mi się zaśmiała w twarz. Jest dużo bezpiecznej, dzieci biegają po podwórku, starsze po ulicach. Domu się czasem nie zamyka. Wprawdzie ukradli nam rower, ale był bardzo ładny, a garaż był otwarty dobrych kilka tygodni – śmieje się Magda. Nagle poważnieje. – W Międzyrzeczu nie ma się do czego śpieszyć. Wyjdzie pani na podwórko, popatrzy. Nocą widać gwiazdy. W Warszawie nie widać gwiazd – mówi z powagą w głosie. – Kilka lat temu takie argumenty by mnie nie przekonały. Bardzo dużo z moich znajomych też wyjechało. Ale zauważyłam, że jak pojawiają się dzieci, to oni wracają. Albo chociaż częściowo – budują domy i dojeżdżają na weekendy. Tu się łatwiej żyje po prostu.

Bezdomnych nie widać

Okazuje się, że jednak nie wszystkim. Agata Sawczuk: – Może ja mam skrzywiony obraz ludzkości, ale,

jak to się mówi, robię w problemach. Trudno mi więc optymistycznie patrzeć na ludzi. Widzę na przykład, że Polacy bardzo wykorzystują obcokrajowców. Na Ukrainie i Białorusi jest bieda, więc oni tu przyjeżdżają. A nasi im nie płacą. Mam jednego takiego klienta, strasznie pechowy. Ciągłe trafia na polskich pracodawców, którzy mu nie płacą. Ale Polak Polaka też potrafi skrzywdzić, oszukać. Powiem pani, że ludzie są podli. Przez te lata pracy napatrzyłam się na tyle nieszczęścia! Sama nie wiem już, co mam o tym wszystkim myśleć. Robię swoje i za dużo nie analizuję.

– W Międzyrzecu nie widać bezdomnych. Nawet największy pijak ma do kogo wrócić – mówi z przekonaniem Magda Oleksiuk. Ale to, że ich nie widać, nie znaczy, że ich nie ma.

4 lutego 2010 roku Dziennik Wschodni pisze: „W Domu Pomocy »Słoneczny« od tygodnia nie ma bieżącej wody. Do mycia naczyń i w toaletach mieszkańcy używają wody z roztopionego śniegu”. „Słoneczny” znajduje się w Wysokim, na przedmieściach Międzyrzeca. Należy do Fundacji Tarkowskich i jest jedynym ośrodkiem tego rodzaju w okolicy. Najwięcej osób przebywa tam zimą – rekord to pięćdziesięciu sześciu mieszkańców. W ośrodku permanentnie brakuje pieniędzy. Gmina tłumaczy, że nie może pomóc, bo to teren prywatny, należący do hrabiny Tarkowskiej, prezes Fundacji.

Ludzie więc przybywają do Międzyrzeca też w poszukiwaniu pomocy. Jak mówi kierowniczka

„Słonecznego” Agata Tamasa, obecnie znajduje się w nim dwadzieścia jeden osób – bezdomnych, zagubionych albo zwyczajnie, po ludzku samotnych. – Przyjeżdżają do nas z całej Polski. Dlaczego? Mamy stronę na Facebooku, piszą, proszą o pomoc i normalnie, przyjeżdżają. No i dlatego nie dostajemy pomocy od gminy, bo oni mówią, że to nie ich bezdomni!

Świat nie jest czarno-biały

Agata Sawczuk zamieszkała w Międzyrzecu, bo tutaj mogła się uczyć i rozwijać. Magda za to zostawiła karierę zawodową i wróciła, żeby wychowywać tu swoje dzieci. Kierowniczka „Słonecznego” przyjechała, żeby pomagać i stworzyć dom tym, którzy nie mogą go znaleźć nigdzie indziej. Shoshe musiała stąd wyjechać – ale za to po latach do Międzyrzeca zawędrował jej wnuk, Shlomo. Przyjechał, żeby opowiedzieć swoim dzieciom o Polsce, pokazać im korzenie. Wielu Żydów od razu po wojnie wyjechało do Izraela. Wtedy zostać w Polsce to była odwaga! Ale ich babcia, Shoshe była odważna. W Legnicy mieszkała do 1956 roku, potem razem z mężem wyjechała do Izraela, żeby pomóc w budowie nowego, żydowskiego państwa. – Chyba nigdy do końca się nie odnalazła w powojennej Polsce. Ale od razu w 1990 roku, jak upadł komunizm, moja mama Adela przyjechała odwiedzić Polskę – Legnicę i Międzyrzec Podlaski – mówi Shlomo. Była

w Polsce już pięć razy. Bardzo lubi tu przyjeżdżać. A teraz Shlomo pierwszy raz zabrał do Polski też swoje dzieci. – Chcę, żeby zrozumiały, że świat nie jest czarno-biały. Że można uciekać z Polski i do niej tęsknić, bać się Polaka i się z nim przyjaźnić. Że można mieszkać w Izraelu, ale być z Międzyrzecza.

★

Międzyrzec Podlaski, 99 km od Lublina, 17 003 mieszkańców. Poczta z Międzyrzecza można wysłać w placówce Poczty Polskiej zlokalizowanej w dawnym budynku poczty konnej. Przy plebanii jednej z miejskich parafii rośnie ponad dwustuletni dąb posadzony dla upamiętnienia uchwalenia Konstytucji 3 maja.

Stasia Budzisz-Cysewska (ur. 1981, Puck)
Skończyła polonistykę i rusycystykę na UG.
Studentka Polskiej Szkoły Reportażu. Dziennikarka.

Stasia Budzisz

Dzikość miasta

– Potrzebuję dokładnie jeden złoty, dwadzieścia groszy. Czy może mi pani pomóc?

– Nie mam gotówki.

– A jeśli będzie pani płaciła kartą, to może kupi mi pani wino?

– Nie.

– To idź w chuj, bo zaraz ci przyjebię.

Codziennosc
w miasteczku przybyszy

Niedzielnemu popołudniu nic nie wadzi. Można przejechać się z rodziną na rowerze po Wiewiórczej Ścieżce, można pójść na lody, piwo, lemoniadę. Można umówić się z chłopakiem poznanym w sobotnią noc w lokalu „Na Skarpie”, wyjść na spacer i zaprezentować nową sukienkę, buty, fryzurę. Można wreszcie wziąć udział w powszechnej, małomiasteczkowej grze pozorów. Pokazać się na mieście w odpowiednim entourage. Niedzielne popołudnie ma w Olecku swoje prawa i przywileje. Wszystko jest takie, jakie być

powinno. Dziewczynki w misternie uplecionych warkoczykach grzecznie spacerują z rodzicami, chłopcy pokazują, podrostki w modnych ciuchach prezentują na promenadzie swe walory .

Na przyjeziornym deptaku zagaduję Zygmunta. Przysiadł na ławce pod drzewem, odpoczywa. Wyjechał do miasteczka pod koniec lat pięćdziesiątych, ale nie jest w stanie dokładnie określić roku. Cała ta przeprowadzka trwała kilka lat. Długo podejmował decyzję. – Tutaj nic nie było. Dziura taka, dzikie miasto. Służyłem w wojsku w Suwałkach i do Olecka nas wysyłali, byśmy postawili to miasto na nogi. W nim było tylko jezioro. Ja to nawet nie pamiętam, ilu tu ludzi mieszkało. Po wojnie to stąd wszyscy uciekli i przyszli nasi. Komu się spodobało, został, komu nie, wyjechał. Ja zostałem. I całą rodzinę ściągnąłem: rodziców, brata, żonę. Ale wszyscy przepadli. Zostałem całkiem sam. Oni już poszli do piasku. A ja już nie wyjadę z tych tak zwanych Prus Wschodnich.

Olecko to miasto nowych osadników. Rodowici olecczanie są dopiero od dwóch, może trzech pokoleń. Żyje z turystów. – Olecko ma swój niewątpliwy urok ze względu na otaczającą przyrodę i jest przyjazne dla mieszkańców. Całe życie miasta toczy się w centrum, a w centrum mamy jezioro, prawie całe zagospodarowane. Co więcej, olecczanie są bardzo otwarci na gości, są dla nich nawet miłsi niż dla siebie, a wynika to z tego, że wszyscy tu są przybyszami – podkreśla

burmistrz Waław Olszewski. Sam nie pochodzi z Olecka, ale spędzał tu dzieciństwo. Kilkakrotnie podkreśla, że cieszy się z faktu bycia olecczaninem.

Ewę, choć nasze drogi skrzyżowały się wiele lat wcześniej, poznałam w Olecku. Zamieszkała tu po studiach w dużym mieście. Tak było prościej, odziedziczyła mieszkanie po babci, łatwiej było zacząć, zwłaszcza że rodzice mieszkają na wsi niedaleko miasta. Decyzji nie żałuje, jest u siebie, a tego nie czuła w dużym mieście. – Moją codzienność buduje nuda – twierdzi. Można nawet powiedzieć, że żyję dla pewnych momentów, dla tego, że ktoś do mnie przyjedzie i wtedy mogę sobie pogadać do woli o czymś, co mnie na serio interesuje: o kinie, książkach. Muszę wtedy nawet zwracać uwagę na słowa, jakich używam, bo na co dzień nie czuję, bym musiała o to dbać. Czy to jest życie? Tak, to jest moje życie.

Ewa przywykła do zasad, według których żyje Olecko. Wie, że powinna zachowywać się w sposób odpowiedni do swojego wieku, uśmiechać się, kiedy mówi lub odpowiada dzień dobry, zbytnio nie rzucać się w oczy. Nikogo nie ocenia. Tak wybrała, ze wszystkimi konsekwencjami. – Pasuje mi, że kiedy idę do warzywniaka to ekspedientka szykuje już dla mnie moje ulubione jabłko, kiedy idę do monopolowego, to pan wie, jakie piwo lubię najbardziej, a w mięsnyim wiem, że dziś „nie chcę” kupić kurczaka. To niewątpliwe plusy. Są też minusy. Jednym z nich jest fakt,

że powinnam, dla własnego świętego spokoju, wpisać się w schematy. I muszę przyznać, że w tym wypadku niby jestem stąd, ale trochę jakby obca. Dobrze się tu czuję, bo chyba przywykłam, ale mam świadomość, że to, jak żyję, moje wartości, moje cele, moje myślenie różni się od tego, jak jest tutaj. To nie oznacza, że moje jest lepsze, jest po prostu inne. Dla niektórych fascynujące, ale nikt z nich nie odważyłby się ze mną być. A dla niektórych jestem tak dziwna, że nie chcą się ze mną przyjaźnić.

Z pracą w Olecku też nie jest wesoło. Młodzi ludzie po studiach najczęściej nie wracają, ci, którzy zostają, pracują „w meblach” w „Prawdzie”, w sklepach, w banku albo w szkole. – Najlepiej jest się zaczepić w urzędzie. To ciepła posadka, do emerytury – twierdzi Krystyna, którą zagadnęłam podczas spaceru nad jeziorem. – Teraz to Ukraińców pełno do nas przyjechało, do pracy. Mieszkają gdzieś na kupie, pracę zabierają – komentuje.

Czas melanzu

W Olecku działają dwa domy seniora, kino, kilka kawiarni i restauracji. Seniorzy umawiają się na kijki, nordic walking dookoła jeziora, cotygodniowe kawy z ciastem, czasem basen. – Białystok jest oddalony o 130 km, Olsztyn o 160, to niby nie jest daleko, ale żeby

na przykład pojechać do teatru, to już jest logistyka, bo wraca się nocą, a nie każdemu to pasuje – twierdzi Grażyna, emerytowana rehabilitantka. – Przydałby się jakiś powiew świeżości, coś mogłoby się dziać w Olecku – mówi Beata, szesnastolatka, która marzy o studiach w Gdańsku. – Dziś jest na przykład piątek. 26 stopni i na plaży nie działa nawet bar. To za zimno dla Olecka, by go otworzyć – wyjaśnia Ewa.

Zdaniem burmistrza w Olecku jest się czym zająć. Na młodzież czekają liczne obiekty sportowe, działają szkolne teatry, no i jest jezioro, chluba miasta. Kiedy wyrywkowo pytam olecczan o rozrywkę w formie klubów i dyskotek część nerwowo się śmieje, druga odsyła mnie na sobotni wieczór w klubie „Na Skarpy”.

Zaintrygowana podążam w ciepłą sobotnią noc do „Skarpy”, jak mówią miejscowi. Dudni muzyka disco, często przerywana elementami disco polo. „Skarpy” nie sposób ominąć, przechadzając się promenadą w weekendową noc. Kolorowe światła, chłopaki lustrujący każdego pojawiającego się w drzwiach, tulące się w kątach pary i wystrojone w najlepsze sukienki dziewczyny. Można tu zobaczyć wszystko: szpilki od Prady i trampki z bazaru, markowe džinsy i dresy. Mieszmasz, także muzyczny. Od Rihanny po Adele, od Rolling Stones po Akcent, od „I can't get no” po „Przez twe oczy zielone”.

– Co się, kurwa, gapisz? – słyszę skierowane do mnie pytanie niskiej dziewczyny w czarnej

koronkowej sukience. – Zostaw ją, to ja ją zagadałam – w mojej obronie staje starsza kobieta słusznej postury. – Jestem Renata – kontynuuje i zaprasza mnie do stolika. – Ej, sorry, kurwa, myślałam, że coś się rzucasz o stolik czy co, nie – przeprasza mnie mocno wymalowana blondynka. – Wódkę pijesz? Dawaj, za nową znajomość! Wieczór rozwija się dynamicznie. Rozmawiamy o beznadziejności faceatów, w poszukiwaniu których każda z nich przybyła do „Skarpy”, o pracy, zakupach i letnich melanzach w Olecku.

– Szczytem prestiżu jest w sobotni wieczór wódka na stole w „Skarpie”. Potem ewentualnie można jeszcze się z kimś pobić, kogoś wyrwać albo umówić się na za tydzień – wyjaśnia Ewa. – „Skarpa” to taki rytuał. I jeszcze jest promenada nad jeziorem. Albo wybieg mody, nazwij to, jak chcesz.

Rzeczywiście, w każde późne ciepłejsze popołudnie promenada przekształca się w wybieg mody. Sukienki kupione w „Falbance”, trzewiki w „Buciku” czy bluzki w „Szmizjerce” wychodzą na spacer.

Można jeszcze kraść, jak Kamil. – Na początku to dla rozrywki, bo co było robić w Olecku? Swoje już odsiedziałem. Już jestem na emeryturze. Wczoraj zadzwoniła do mnie moja była kobieta i powiedziała, że nasza sześćioletnia córka po raz pierwszy ukradła towar w sklepie. Nie wiem co, pewnie co wzięło pod rękę. A ja jej nawet szkolenia nie robiłem, we krwi to ma.

Kamil nie chce powiedzieć, gdzie i ile siedział, kurtuazyjnie wymiguje się od odpowiedzi. Wspomina coś o miodzie, piwnicach i niewinności. – Mówią na mnie – śmieje się – „Miodek”, ale nie od tego słynnego profesora, ale, że wpadłem na miodzie. Było go dużo w piwnicy, którą „zrobiłem”. Olecko to jest moje miasto i już – kwituje.

Tolerancję mamy na wysokim poziomie

Kamil, złodziej-recydywista, po chwili refleksji mówi: – Siedziałem za niewinność i kurewstwo. Nie chcę tu brudasów. Nie, bo, kurwa, nie! Na drugie mam Ivo. I to nie jest przecież polskie imię. No, czyli ja też mogę być trochę brudasem. Ale wiesz co, ja jestem lepszym brudasem, bo ja jestem oleckim brudasem.

O Olecku w mediach zrobiło się głośno w końcu 2015 roku, kiedy to właściciel Hotelu Olecko wystąpił w przetargu zorganizowanym przez Urząd do Spraw Cudzoziemców. Jerzy Czaja wyraził chęć przyjęcia do obiektu 120 uchodźców. Pomysł spotkał się z ostrym sprzeciwem władz miasta i mieszkańców. Sam Czaja unika mediów, nie godzi się ani na wywiad, ani nawet na rozmowę. – Ja już wszystko powiedziałem. Pani mnie postawiła pod ścianą. To nic nie da. Pani i tak nie napisze tego, co ja powiem, a nawet jak pani to napisze, to nikt tego nie wydrukuje. To są układy, proszę

pani. Ja też jestem w układzie. Uchodźcy to ludzie, tacy ja my. Nie ma o czym dyskutować.

Hotel Olecko to pięknie położony obiekt, tuż nad samym jeziorem, przy Wiewiórczej Ścieżce, biegnącej wokół akwenu. – To inwestycja, która ciągnie się jeszcze z lat osiemdziesiątych, z czasów komuny. Miał to być budynek Ośrodka Postępu Rolniczego, ale kiedy się okazało, że to inwestycja przeszacowana, a komuna padała, to budynku nie dokończono. Był stan surowy zamknięty i trochę zrobione tam w środku. Dłgie były koleje losu tego budynku, przechodził z rąk do rąk. Mnie też zależało, by nie niszczał, bo jest w bardzo pięknym miejscu. No i jak chyba każdemu władzowi miasta zależało mi na tym, by przynosił korzyści, w postaci podatku oraz tego, by ściągał ludzi, turystów, którzy zostawialiby w mieście pieniądze. No i tak się w końcu stało. I z tego trzeba się cieszyć – komentuje burmistrz miasta.

W grudniu 2015 roku w Olecku zawrzało. Przyjechała telewizja, ludzie dwa razy wyszli na ulicę, demonstrując swą niechęć dla mającego powstać ośrodka dla uchodźców. Kipiały także fora internetowe związane z miastem.

~P.....k #1873443 | 94.254.*.* 4 gru 2015 15:06

Kto pośle swoje dziecko na obóz sportowy do miasta, gdzie obok mieszkać będą ciapaty, które kozom i owcom nawet nie przepuszczą, co z naszymi dziećmi. Kto im zapewni bezpieczeństwo. Jak trzeba będzie to wyjdziemy na ulicę

~No to żegnaj jezioro #1873982 | 82.177.*.* 4 gru 2015 23:33

we Francji muzułmanki pobiły dziewczynę w bikini, a tam droga nad jezioro i plaże! Żegnaj Olecko. Czas uchodzić przed uchodźcami?! za granicę. Teraz to dopiero się zacznie

~wiesiek #1874087 | 80.238.*.* 5 gru 2015 09:15

w małym miasteczku sa dwa koscioly ,dlaczego jednego nie zmienic na meczet ,beda sobie tam brudasy naradzac sie komu podlozyc bombke ,ktora dziewczynze zgwalcic,a po drugie wreszcie bedzie porzadek ,turysci znajda sobie inne miejsca do turystyki a miejscowi beda sobie na plazach opalac sie i kapac w majtkach za kolana i sukienkach ,piekna przyszlosc,mysle ze nie bedzie po co przyjezdzac do tak pieknego i urokliwego miasteczka

~DO BURMISTRZA OLECKA #1874239 | 89.241.*.* 5 gru 2015 13:51

Drogi Burmistrzu, gwarantuję Ci, jeśli nie zatrzymasz islamskiej inwazji, To będzie już Twoja ostatni kadencja.

ciotka_Petronela #1874554 | 91.240.*.* 5 gru 2015 21:09

Ludzie. A co wam uchodźcy przeszkadzają? Takiemu Olecku to już nic nie zaszkodzi. A pomoc może. Przynajmniej trochę przystojnych facetów przyjedzie to i dziewczyny będą miały na kim oko zawiesić. Bo miejscowi do niczego się nie nadają.

Głósów poparcia było niewiele. Ginęły wśród fali hejtu. Ludzie bali się islamu, gwałtów, braku szacunku do kobiet i tego, że tracą jezioro. – Nie chcieliśmy tu tych uchodźców. Jeszcze mieliby mieszkać w takim miejscu, tuż przy jeziorze. Codziennie z koleżankami chodzimy Ścieżką Wiewiórczą na kijki, i byśmy nie mogły. Bo to wiadomo by było, skąd przyjadą? A jak islamiści jacyś? Jeszcze by gwałcili – twierdzi Grażyna, emerytowana rehabilitantka. – Ja to od początku byłam przeciw. Tym bardziej, że my nic nie wiedzieliśmy. Dowiedzieliśmy się przypadkiem. Z władzami miasta nikt tego nie ustalał. To strach nas tu obleciał od razu. Ja jeszcze rozumiem, gdyby to mieli przyjechać biali jacyś, to jeszcze. Ale z Syrii? Przecież to zupełnie inna rasa jest. I to by się w końcu pomieszało. U nas w Olecku mieszkają rosyjskojęzyczni, bo słyszę ich w sklepie na przykład. Ukraińcy chyba, bo mówią w tym jakimś swoim ukraińskim narzeczu. Ja rozumiem, bo tu były argumenty, że my też uciekaliśmy. No, ale my to jakoś tak inaczej, my to biali jesteśmy i umiemy się zasymilować. I się nie lenimy, tylko do pracy od razu idziemy. A nie jak ci islamiści. Gdyby to mieli być syryjscy katolicy, to ludzie mówili, że nic by przeciwko nie mieli. Ale skąd wiadomo, że dzikusy nie będą? Ja nie słyszałam, by proboszcz z ambony coś się na ten temat odzywał – komentuje Maryla, kobieta koło pięćdziesiątki. – A myśmy się dowiedzieli inaczej, z samej góry przyszła informacja. Bo

on [Jerzy Czaja] jakoś to po swojemu załatwiał. A burmistrz to był od razu przeciwko. Od samego początku był z nami. Byli ludzie, co mówili, że chcą, ale tu mieli przyjechać sami mężczyźni. Dla normalnych ludzi, z Polski, to przyjaźni jesteśmy. Ja mam na przykład synową z Polski i każdy ją akceptuje. Także przyjaźni tu w Olecku jesteśmy – twierdzi Maryla.

Łukasz, recydywista, pochwalił się, że siedział za kradzież i za gwałt: – Ja to rasistą nie jestem, ale asfalt swoje miejsce ma. I jeszcze jak takie syfy miałyby tu mieszkać i nas gonić, i gwałcić nasze kobiety, no to, sorry, nie. Niemcy se zabrały doktorów i wszystkich innych mądrych z tych uchodźców, a nam sam syf ślą. Po co nam przygłupy? Mamy dość swoich. A do Ukraińców, co ich tu pełno, to ja nic nie mam. Ale wczoraj wpierdol dostali. Żeby się nie czuli. A co?!

– To nie wynikało bynajmniej z niechęci, ale ze strachu przed tym, co działo się na zachodzie Europy: wypadki, zamachy itd. Nie można zarzucić społeczności Olecka, że jest nietolerancyjna. Uważam, że tolerancję mamy na wysokim poziomie – komentuje burmistrz.

Nie wiadomo było, kto do Olecka zawita – mużłamanie, chrześcijanie czy uchodźcy z krajów afrykańskich. Burmistrz miał tego świadomość, otrzymał taką informację z Urzędu ds. Cudzoziemców, niemniej jednak stanął po stronie mieszkańców i sprzeciwił się otwarciu ośrodka. – Nie wiadomo do dzisiaj, skąd

to mieli być ludzie. Wcale to nie znaczyło, że mieli być muzułmanie. Prawdopodobnie gdyby to byli Ukraińcy to nikt nie miał by nic przeciwko temu. Każdy bał się tego islamu. Od razu taka fala poszła i to już było nie do zatrzymania: że islam, że kobiet nie szanują, że gwałcić będą. To strach był już powszechny – komentuje burmistrz.

Ośrodek nie otwarto, w Hotelu Olecko powstało uzdrowisko, przyjmujące kuracjuszy wysyłanych przez ZUS. Burmistrz z nieukrywanym zadowoleniem chwali działalność dającą miejsca pracy, która przyjmuje dziś 105 pensjonariuszy, a liczba ma wzrosnąć do 120. Do tego taką, która płaci podatki i wpływa na rozwój miasta.

Niedziela w Olecku nie zmieniła się więc ani o jotę. Trwa niezmiennie, toczy się swym leniwym rytmem. – To jest ten dzień, w którym odbywa się parada i pokazuje jacy jesteśmy ze sobą szczęśliwi. To wtedy zobaczysz zaściankowość w całej swej krasie. I to ona jest właśnie tym światłem małego miasta, którego szukasz – mówi Ewa.

Imiona niektórych bohaterów reportażu zostały zmienione na ich życzenie.

Olecko, 109 km do Białegostoku, 16 448 mieszkańców. Olecko jest Europejskim Miastem Sportu, a jego centrum stanowi jezioro. Bogata, ewangelicka historia miasta leży pogrzebana na zaniedbanym i traktowanym jako park cmentarzu – położonym także w centrum miasta.

Rafał Grądzki (ur. 1971, Połczyn Zdrój)

Skończył prawo na UG. Mieszka w Pucku, zajmuje się fotografią. Student Polskiej Szkoły Reportażu.

Rafał Grądzki

Takim go ochrzciłam

Halina Talko nie wie, co robić. Przed chwilą dowiedziała się, że Władysław kocha ją nad życie. Problem w tym, że ona nie czuje nic, poza lekką sympatią.

Poznali się któregoś wiosennego dnia w 1945 roku. Od tamtej chwili Władysław Szepietowski odwiedzał ją codziennie. Przynosił kwiaty, prawił komplementy, z uwielbieniem patrzył na jej smukłą talię. Zawsze miły i uprzejmy. Tylko akcent miał jakiś dziwny. Zbyt śpiewny jak na kresowiaka. W Kowlu na Wołyniu, gdzie się urodziła, mówiło się inaczej.

To tam przeżyła inwazję Rosjan i lata hitlerowskiej okupacji. Drżała ze strachu, gdy oddziały hitlerowskiej służby bezpieczeństwa wspólnie z ukraińską policją likwidowały kowleńskie getto. Przetrwała UPA, przejście frontu.

Ruszyła w drogę dopiero w 1944, gdy stało się jasne, że Kowel nie będzie już polski. Wraz z babcią i dwiema młodszymi siostrami dotarła do Chełma. Ojciec i starsza siostra przepadli na wojnie. Szukała ich przez Czerwony Krzyż, bez rezultatu. Matka umarła, gdy Halina była jeszcze dzieckiem.

Babcia namawia ją do zamążpójścia. Lubi Władysława. Za kwiaty, miłe słowa, za pomoc w obejściu. – Idź za niego dziecko – mówi. – Masz 18 lat, będziesz żyć na swoim, a nie ciągiem pracować u ludzi za psie grosze. Ja dziećmi się zajmę. On zaradny. Zadba o ciebie jak o księżniczkę.

Halina ulega. Szepietowski nie jest przecież taki najgorszy. Pobierają się w jednym z chełmskich kościołów.

Jakiś czas po ślubie, robiąc zakupy na pobliskim targowisku, Halina dostrzega wśród straganów znajomą twarz. „Tato?!“ – krzyczy. Człowiek nazwany „tata“ odwraca się. W oczach ma szczęście i niedowierzanie. Długo tuli ją w ramionach.

*

Władysław – tak jak mówiła babcia – ma smykałkę do interesów. Świetnie liczy, zna się na księgowości, jest dobrym organizatorem. Bardzo szybko otrzymuje propozycję pracy. Szepietowscy wraz ojcem Haliny wyjeżdżają do Gryfic, kilkadziesiąt kilometrów na wschód od Szczecina. Władysław zakłada tam pierwsze PGR-y. Niedługo potem przeprowadzają się do Tychowa, niedaleko Białogardu, gdzie na świat przychodzi pierwszy syn, Jerzy.

W 1949 roku przyjeżdżają do Połczyna Zdroju. W mieście osiedlają się repatrianci zza Buga, są Łemkowie i Ukraińcy przesiedleni podczas akcji

„Wisła”, jest też trochę tych, którzy uciekli przed biedą z innych regionów kraju. Burmistrz Otto Benedykt Polak dwoi się i troi, czyniąc miasto nadającym się do mieszkania. Część domów okradziono z rzeczy pozostawionych przez wysiedlonych Niemców. Straszą wybite okna i wyrwane z zawiasów drzwi. Brakuje podstawowych artykułów. Papier toaletowy należy do dóbr luksusowych. Uruchomiony ponownie browar zaopatruje miasto w prąd i wodę. Część terenów miejskich zajmują gospodarstwa rolne. Połczyn zatrudnia etatowego pastucha, który codziennie wypędza krowy na okoliczne łąki.

Szepietowscy wprowadzają się do czteropokojowego mieszkania w okazałym budynku przy Placu Wolności. Przed domem mają przystanek PKS. Tuż obok gimnazjum. Naprzeciwko oddział porodowy dopiero co odtworzonego szpitala. Obok biblioteka, z książkami przywiezionymi z oflagu w Bornym Sulinowie. Niektóre z nich mają sygnaturkę prywatnej kolekcji Edwarda Śmigłego-Rydza. Pomiędzy dochodzącymi do placu ulicami Nowotki i Stalina stoi kościół. Tuż obok kino. I knajpa zwana przez mieszkańców Mordownią, serwująca wódkę i zakąski.

Halina zostaje kucharką w jednym z sanatoriów. Władysław pracuje jako księgowy.

W 1950 piorun niszczy wieżę kościoła, a Szepietowscy świętują narodziny drugiego syna, Waldemara.

Władysław od początku należy do elity miasta. Znają go tu wszyscy. Towarzyski, wesoły, z każdym się zbrata, porozmawia i wypije. Zawsze w garniturze, pod krawatem i w kapeluszu. Dodaje nim sobie parę centymetrów. Dziwny akcent tu nikomu nie przeszkadza. W końcu niejeden z polczyńiaków zakłada „ciapkę”, a nie czapkę lub „cita” zamiast czytać.

Świat Haliny to dom. Dzieci trzeba oprać, obiad na stół postawić, mieszkanie oporządzić. Z sąsiadkami pogadać. Czasem pozzzędzić na Władysława, zwłaszcza wtedy, gdy wróci podchmielony. W przeciwieństwie do męża sporo czasu spędza w kościele. On zachodzi tam tylko raz. Którejś niedzieli przeciska się przez tłum do ławki, w której siedzi żona, nachyla się i prosi: „Matula, daj jakiś grosz na wódkę. Kolegom zabrakło”.

Dwa lata po Waldku rodzi się Janusz. W 1953 roku umiera ojciec Haliny. I Józef Wissarionowicz. W Polsce narasta potrzeba rozliczenia kilkunastu ostatnich lat. Zmieniające się czasy znajdują odzwierciedlenie w nazwach polczyńskich ulic. Reymont lepiej pasuje do nowej rzeczywistości niż Rokossowski a 20 października (dzień dojścia do władzy Gomółki) brzmi lepiej od Stalina.

Władysław nie komentuje sytuacji politycznej. Mimo to, już na pierwszy rzut oka widać, że coś go niepokoi. Staje się małomówny, często chodzi zamyślony. Któregoś dnia podchodzi do

Haliny i mówi: „Matula. Nie nazywam się Szepietowski, tylko Walentij Jewdokimow. Jestem dezercerem z Armii Czerwonej. Wysłuchaj, co chcę ci powiedzieć”.

★

Urodził się w 1918 roku we Frunze (dzisiejszy Biszkek), stolicy Kirgizji. Przed wojną był dyplomowanym księgowym. W 1944 roku dowodził kompanią wojsk radzieckich. Tuż przed polską granicą stanęli na kwaterze w jakimś gospodarstwie. W sianie znaleźli bimber i tego popili. Po trzech dniach któryś z żołnierzy zauważył, że front poszedł dalej, a oni zostaną rozstrzelani za dezercję. I nawet pies z kulawą nogą nie zainteresuje się tym, dlatego oddalili się od macierzystej jednostki na dłużej niż 24 godziny. Kompania samorzutnie rozformowała się. Każdy na własną rękę szukał szczęścia. Niektórych złapano. Walentij znalazł przy leżących w rowie zwłokach dokumenty wystawione na Władysława Szepietowskiego. Zmienił ubranie. Poduczył się języka. Przechował. – No, a w Chełmie spotkałem ciebie. – kończy swoją opowieść. – I zakochałem się. Wiem, matula, że cię oszukałem, ale nie miałem innego wyjścia. Wybacz mi! Nie chcę dłużej się ukrywać. Jest amnestia, mogę w końcu zacząć żyć jak zwykły człowiek. Przyjmiesz moje nazwisko?

Halina jest w szoku. W Białogardzie Rosjanie. W Bornym Sulinowie Rosjanie. Nie inaczej pod

Walczem. A jak przyjadą go aresztować? No i co powiedzą ludzie na rosyjskie nazwisko? – Nie! – odpowiada kategorycznie.

★

Walentij nie daje za wygraną. Składa do sądu wniosek o urzędową zmianę nazwiska. Ściąga dokumenty potwierdzające pochodzenie. W domu toczy z żoną ciche negocjacje. Wie, że Halina nie dopuszcza myśli, że może nazywać się inaczej niż reszta rodziny, choć sędzia twierdzi, że ma taką możliwość. Z bólem godzi się z sytuacją. Latem 1959 roku Władysław Szepietowski umiera po raz drugi. Tym razem w sądowych aktach.

Współpracownicy i sąsiedzi przyjmują zmianę z obojętnością. Dla nich Walentij zawsze będzie Władkiem. Halinę pocieszają sąsiadki. Jewdokimow, Szepietowska, jeden czort. Ważne, że rodzina cała.

Dzieci myślą inaczej. Przez klasę przebiega szmer, gdy wychowawczyni, pani Biernacka, wyczytuje nowe nazwisko Janusza. Na przerwie słychać pierwsze wyzwiska. Ty kacapie, ty rusku parszywy. W ruch idą pięści. Walczących rozdzielają nauczyciele.

Są też dobre wiadomości. Walentij otrzymuje propozycję pracy w jednym z ministerstw. Wspólnie z Haliną podejmują decyzję o sprzedaży mieszkania przy Placu Wolności. Będą potrzebować pieniędzy na urządzenie się w Warszawie. Na czas, który pozostał

im do wyjazdu, przenoszą się do domu przy ul. Grunwaldzkiej. Jest ciasniej, ale w końcu to tylko kilka tygodni.

Tuż przed wyjazdem Walentij znika. Nikt nie wie, gdzie przebywa. Gdy wraca, nie do końca trzeźwy po kilkudniowym pijaństwie, zastaje w domu ciszę i pismo z Warszawy cofające ofertę.

★

Połączyn się zmienia. To już nie na wpół wymarłe, prowincjonalne miasteczko na ziemiach, które są nasze, ale nigdy nic nie wiadomo. Widoki łąnów żyta pomiędzy zięjącymi pustką budynkami nie dziwią już przyjezdnych. Zniszczone domy idą do remontu lub wyburzenia. Uzdrowiska przyjmują coraz więcej kuracjuszy. Kawiarnia Wrzos, słynna ze swoich wyrobów pęka w szwach, gdy po niedzielnych nabożeństwach ludzie przychodzą na swój ulubiony krem sułtański. Kino pokazuje „Garbusa” i „Dzwonnika z Notre Dame”, w niedzielę dzieci oglądają bajki. Siedem i pół tysiąca mieszkańców, bawi się, uczy i buduje przyszłość ludowego państwa.

Halina oswaja się z nowym mieszkaniem. Z perspektywy czasu przeprowadzka wydaje jej się całkiem sensownym posunięciem. Na podwórku przy Grunwaldzkiej wszyscy żyją w symbiozie. W chlewiu sąsiedzi trzymają świnię, kury i kaczki. Gdy w którymś domu gospodyni piecze ciasto, to wiadomo,

że każde z dzieci dostanie po kawałku. Gdy bije się świnie, to wszyscy solidarnie pracują przy rozbiorze i przygotowaniu wędlin. Dorośli pilnują dzieciarni. Swojej i cudzej. Sąsiadki pomogą, posiedzą przy herbacie, pogadają.

Walentij przebywa głównie poza domem. Albo pracuje, albo uczestniczy w życiu społecznym miasteczka. Pije rzadko. Nie ma go wtedy przez parę dni. I w domu, i w pracy. Kierownictwo pobłażliwie patrzy na te eskapady. Jewdokimow jest zbyt cennym pracownikiem, by wypominać mu takie błahostki. Wiadomo, że po wojnie wielu potrzebuje na chwilę zapomnieć o codzienności.

Halinę kocha, jak potrafi. Przynosi kwiaty, kupuje koronkową bieliznę. Wie, że żona skąpi sobie na takie zbytki.

Dzieci go ubóstwiają. W niedziele chodzi z chłopcami na wycieczki. Czasem zagrają w piłkę na szkolnym boisku. Latem chodzą na położony kilka kilometrów za miastem basen, wybudowany jeszcze przez Niemców, w ramach przygotowań do monachijskiej olimpiady. Gdy coś nabroją, z reguły staje po ich stronie. Na przykład wtedy, kiedy Janusz pierwszy raz zapala papierosa. Walentij zasłania syna własnym ciałem, broniąc go przed pasem matki. Ostatecznie nie wiadomo, który z nich dostaje lanie.

Halina po raz czwarty zachodzi w ciążę. Córka! – marzy Walentij. – Może w końcu będzie córka! 1 kwietnia 1960 roku biegnie pod szpital. Spotkani po

drodze znajomi, mówią mu, że ma kolejnego chłopca. „Matula!” – zawodzi pod oknem. – „Błagam cię powiedz, chłopak czy dziewczyna?” „Idź już, ojciec, do domu – mówi żona, ledwo stojąc przy uchylonym oknie. – Córkę masz!” Nie wierzy, dopóki nie zobaczy.

Dają jej na imię Alicja Nadieżda.

Dziecko od samego początku choruje. Nie przyjmuje prawie żadnych pokarmów. – Pani Jewdokimow, ona nie dożyje trzecich urodzin – diagnozuje lekarz. By zostawić małą w żłobku, Halina musi podpisać oświadczenie, że czyni to na własną odpowiedzialność. W końcu radzi się sąsiadki, Rosjanki znającej się na ziołach. Przygotowaną przez nią miksturą z siemienia lnianego przez kilka miesięcy poi córkę rano i wieczorem. Jakiś czas później, odprowadzając Alicję do przedszkola, spotyka tego samego lekarza. – Niech pani mi nie mówi, że to jest ta dziewczynka?! – woła zdziwiony doktor.

Walentija rzadko zajmują domowe problemy. Od dawna planuje wyjazd w rodzinne strony. Długo dopina każdy szczegół podróży. Pozwolenia, trasa, bilety, pieniądze, zakupy. Po dwóch tygodniach dociera na miejsce. Zabrane na handel pierwsze polskie jeansy marki Odra idą jak woda. Rosjanie chodzą na co dzień w kufajkach i walonkach, więc za zachodnie nowości zapłacą każdą cenę. Jurkowi, który towarzyszy ojcu w tej wyprawie, podoba się w ZSRR. W liście do matki pisze: „Ja do Polski już nie wrócę”. Halina w odpowiedzi nakazuje kategorycznie: „Wracaj natychmiast”.

Meldują się w domu po trzech miesiącach. Walentij przywozi zawinięte w ceratę plastry miodu, płaczącą lalkę dla Alicji i rubaszkę dla Janusza. Chłopak jej nie nosi. Wstydzi się założyć taki „ruski łach”.

*

W Połczyniu trwa Festiwal Piosenki Żołnierskiej. Kucracjusze i mieszkańcy co lato oklaskują w parkowym amfiteatrze kolejne poligonowe miłosne opowieści. W domu Jewdokimowie słuchają dźwięków liczydła. Czasami stukot słyhać jeszcze długo w nocy. Inni liczą już na kalkulatorach, lecz Walentij przedkłada tradycję nad nowoczesność.

Jest niezwykle pedantyczny. Jego przybory do pracy leżą na stole w dużym pokoju. Pióro dwa centymetry od kartek, kartki dwa centymetry od krawędzi blatu, liczydło nad kartkami. Dwa centymetry, rzecz jasna. Niczego nie można dotknąć. Gdy niesforny Jurerek przesuwą odrobinę pióro, ojciec natychmiast to zauważa – Kto mi to ruszał? – grozi palcem dzieciom.

Dużo pracuje. Do domu wraca, gdy dzieci już śpią. Alicja codziennie rano znajduje pod poduszką tabliczkę czekolady. Biegnie do kuchni podziękować, ale ojca już nie ma. Zamiast wieczornego buziaka zostaje jej na pocieszenie wedłowski przysmak.

Halina każdego dnia czeka na niego z ciepłym posiłkiem i kaptami. Idzie spać dopiero, gdy Walentij zje i chwilę porozmawiają przy kuchennym stole.

W głębi duszy czuje się samotna. Co z tego, że są pieniądze, jeśli nie ma męża.

Walentij zdaje się czytać żonie w myślach. Proponuje, by wyjechali we dwoje na wczasy. Wspiera go chrzestna Alicji, pani Wanecka. – Jedź. – mówi. – Odpocznij. Ile tak będziesz siedzieć w tym domu? Wszystko załatwił, więc jedź i zabaw się trochę! Popilnuję dzieciaków. Halina niechętnie przystaje na propozycję. Tęskni od pierwszego dnia. Walentij chce zwiedzać, bawić się, oglądać nowe miejsca. A ona wcale nie ma na to ochoty. Po czterech dniach oznajmia: „Ty się, ojciec, wczasuj, ja wracam do domu”.

Gdy Alicja idzie do szkoły, jej nazwisko nie budzi już żadnej sensacji. Za to pani od rosyjskiego słuchając deklamowanego przez nią wiersza stwierdza: „Dziecko, jaki ty masz piękny akcent”. W sumie nic dziwnego, tylko że tata mówi w domu wyłącznie po polsku. Zresztą nikt z rodziny nie identyfikuje się z Krajem Rad. Jewdokimow często powtarza, że przeszłość była i minęła. Tu ma rodzinę i dom. Tu jest jego życie.

Któregoś dnia znowu znika. Po pijaku pali jakąś szopę. Następne pół roku spędza w więzieniu. Codziennie pisze listy do żony. Na żaden z nich nie dostaje odpowiedzi. Kiedy wychodzi, Halina nie chce wpuścić go do domu. Ma serdecznie dosyć mężowskich wybryków. Co innego dzieci. Błagają ją, by wybaczyła ojcu słabość. Chcą, by było jak dawniej.

Halina po raz kolejny ulega. Jednak w sercu jest już tylko chłód.

★

W Połczynie życie toczy się swym zwykłym trybem. Dawny dom, w którym mieszkali Jewdokimowie jest teraz hotelem. ORMO pałuje i strzyże w bramach hippisowskie, buntownicze głowy. W Savoyu – nowo otwartym lokalu drugiej kategorii – rozkwitają podczas dancinów miłości i romanse. Ulica Grunwaldzka staje się deptakiem, a Połczyn wygrywa konkurs na najbardziej gospodarne polskie miasto. Młodzież zbiera się po domach i słucha radia Luksemburg. Połomski i Fogg w przedbiegach przegrywają z Janis Joplin i Hendrixem. Lokalny farmaceuta opracowuje przepis na kompot z maku. Od tej pory Połczyn kojarzony będzie z największym w Polsce skupiskiem narkomanów w przeliczeniu na jednego mieszkańca.

Jewdokimow ma kłopoty ze zdrowiem. Często boli go brzuch, ma coraz mniejszy apetyt. Lekarz diagnozuje raka. Podczas operacji Walentij traci pół żołądka.

★

Czuje, że jego małżeństwo zmieniło się nieodwracalnie. Emocje przekłada na wiersze.

„Nie żonaty nie kawaler” – pisze w jednym z nich. – „Jednym słowem oprócz tęsknoty, nie mam nic miłego”.

W liście do Waldka żali się na pogarszające się stosunki z żoną. Uważa, że Halina, choć nie mówi tego wprost, nie chce już z nim być. Na końcu pisze: „Tylko ja i Bóg (którego nie ma) nie jesteśmy sobie wrogami. A ponieważ jego nie ma, w liczbę wchodzi tylko ja. Czyli sam, samutki załęczony w obcym stadzie nie współczujących, nie przyjaciół. I nie doczekam się już chyba dnia, żeby odetchnąć z ulgą i żyć z Haliną w zgodzie”.

Stara się być dobrym ojcem. Wie, że dzieci nie o wszystkim mogą porozmawiać z matką ultrakatoliczką. Tuż po trzynastych urodzinach Alicji zaprasza ją do kawiarni. – Chodź, porozmawiamy sobie i zjemy przy okazji coś słodkiego – mówi. Siadają w kącie. – Dziecko, czy ty wiesz, co to jest miesiączka? Wiesz, co się dzieje, gdy dziewczyna zaczyna dojrzewać? – pyta. – Oj tato, nie zaczynaj – śmieje się Alicja – Ja już wszystko wiem! A twoi bracia? – ojciec nie daje za wygraną. – Od dawna bawią się w doktora z córkami sąsiadów. Fajnie, że się zainteresowałeś, ale my naprawdę już jesteśmy uświadomieni.

Choroba wraca po trzech latach. Jewdokimow przechodzi kolejną operacją. Jednak przerzuty na trzustce okazują się nieuleczalne.

Walentij nie chce umierać w szpitalu. Halina pracuje, gotuje, sprząta i dogląda męża. Zastrzyki morfiny

robi sąsiadka. Kłamie przy tym, że przyjechały prosto z USA. Doskonale wie, że Jewdokimow kocha wszystko, co amerykańskie.

Dwa lata później Halina nie ma już sił zajmować się mężem. Walentij trafia z powrotem na szpitalną salę. Umiera w sylwestrową noc 1975 roku. Leżący obok pacjenci wspominają, że do końca opowiadał o tym, jak wspaniałą ma rodzinę.

Halina każe napisać na nagrobku: „Władysław Jewdokimow. Takim go ochrzciłam i takim dla mnie zostanie” – gasi w zarodku wszelkie protesty.

★

Nikt do końca nie wie, co dzieje się w sercu Haliny. Czy czuje ulgę, że jest w końcu sama? Czy nosi w sobie żal po zmarłym mężu? Niektórzy członkowie rodziny twierdzą, że wraz z ostatnią grudką ziemi rzuconą na grób Walentija, z jej piersi spadł ogromny ciężar. Inni utrzymują, że w jakiś sposób kochała go do końca, mimo wszystko. Ale to tylko domysły, bo Halina nie ma w zwyczaju dzielić się swoimi uczuciami. Dotyczy to nawet ukochanej wnuczki, która wiele lat później siedząc w kuchni na dziecinnym zydelku i patrząc, jak babcia smaży jej ulubione naleśniki, pyta o dziadka, którego nie dane było jej poznać. Być może jedyną osobą, która zna jej myśli, jest pani Pyziakowa, sąsiadka i najbliższa przyjaciółka. Na

rozmowach przy słodkiej herbacie z cytryną, potrafią spędzać całe dni.

Po trzydziestu latach małżeństwa z Walentijem, Halina zaczyna drugie życie. Ceni sobie spokój, przewidywalność i brak jakichkolwiek ekstrawagancji. Całkowicie poświęca się rodzinie. Nigdy nie odmawia pomocy. Jedzie, gdy trzeba zająć się chorymi wnukami lub zwyczajnie zostać z nimi na jakiś czas. Jurek wciąż jest jej ukochanym dzieckiem. Karmi go, doradza, rozwiązuje jego problemy. Tak jak wtedy, gdy na początku szkoły siedziała z nim w ławce, by dodać mu odwagi. Kto wie, może właśnie to ciągłe przebywanie z matką staje się przyczyną rozpadu jego małżeństwa.

Spokój, którego tak pragnie, co jakiś czas zakłócają wydarzenia historyczne. Solidarność, strajki, kolejki, braki w sklepach przypominające dawne czasy. Gdy kraj staje się w końcu „własnym domem”, Halina jest już emerytką. Przygląda się, jak jedno po drugim upadają sanatoria i nieliczne połczyńskie zakłady, które nie potrafią odnaleźć się w realiach wolnego rynku. W lipcu 1996 roku, wraz z resztą mieszkańców, walczy z powodzią, która zalewa pół miasta. Przez kolejne lata patrzy, jak z Połczyna wyjeżdżają ludzie, szukając pracy, zarobku lub szansy na lepsze życie. Jest wśród nich Alicja. Emigruje do Włoch, by zapewnić sobie utrzymanie, a córce przyszłość. Halina samodzielnie wychowuje wnuczkę.

Ma coraz większe kłopoty z chodzeniem. Wkrótce niedowład nóg przykuwa ją do łóżka. Mimo to, któregoś dnia mówi wnuczce: – Magdusia, mogłabyś już mieć dziecko. Pomogłabym Ci. Wprawdzie chodzić już nie mogę, ale mam dwie sprawne ręce. – Kilka tygodni później trafia do szpitala. Umiera w wieku 83 lat, wciąż będąc w stanie nawlec nitkę na igłę bez okularów.

Wnuczka zmienia napis na nagrobku. Chce by było tak, jak było, a nie tak, jak chciała babcia. Czuje, że jest to dziadkowi winna. Na połczyńskim cmentarzu spoczywają obok siebie Walentij i Halina Jewdokimow.

*

Po śmierci Haliny nie miał kto zadbać o Jurka. Zmarł kilka lat temu na zawał serca. Waldek wyprowadził się do Koszalina. Janusz wciąż mieszka w Połczynie. Uwielbia – ku utrapieniu sąsiadów – głośną, ostrą muzykę rockową. Alicja mieszka w Toskanii. Do mieszkania przy Grunwaldzkiej zamierza wrócić na emeryturę.

W domu przy Placu Wolności mieści się dziś urząd miasta. Na końcu parku straszą ruiny basenu, na który Walentij chodził wraz z synami. Parkowa muszla nie gości już festiwali, a z 1300 pracowników uzdrowisk dziś pracuje ledwie trzystu. Kawiarnia Wrzos nie istnieje, a jedyną czynną na co dzień restauracją jest Parkowa. Browar pół roku temu zawiesił produkcję.

Kilka funkcjonujących w mieście firm ma kłopoty ze znalezieniem pracowników. Wiele budynków znów stoi pustych. Odrapane mury, dziury zamiast okien, na niektórych transparenty z napisem „Sprzedam”.

Znajdującą się w gmachu nowego kina kawiarnią kieruje wnuczka Haliny, Magda Jewdokimow – Mączka. Gdy ją otwierała ludzie pytali, czy będzie serwować krem sułtański. – Chciałam – mówi Magda – ale nie mam nikogo, kto potrafiłby go robić.

★

Polczyn Zdrój, dawniej Bad Polzin, 144 km do Szczecina, 8 265 mieszkańców. Leży w otulinie Drawieńskiego Parku Krajobrazowego. Miasto uzdrowiskowe słynące z borowin. Podczas II wojny światowej funkcjonował tu jeden z największych ośrodków programu Lebensborn (hodowla nordyckiej rasy nadludzi).

Agnieszka Żądło (ur. 1987, Opoczno)
Absolwentka dziennikarstwa oraz socjologii
na UW, laureatka stypendium im. Leopolda Ungera.
Dziennikarka prasowa, poetka.

Agnieszka Żądło

I tak się czeka

W odrapanych, kolorowych drewnianych domach na ulicy Kilińskiego w Raciążu kobieca nadzieja przemieszana ze zniechęceniem wychodzi na podwórza. Tam siada sobie na plastikowych albo pluszowych fotelach i rozgląda dookoła.

Z tej perspektywy widzi świat Jola, eleganka przed pięćdziesiątką. Obfitością kształtów przypomina Saraginę z „8 i pół” Felliniego. Zajmuje okazałe, rude siedzisko na tyłach Domku Numer Dwa, na środku zarosniętego podwórza i czeka na wielką miłość. I na pracę. Wiosną i latem urząd gminy wysłała ją na „kuroniówkę” albo zwolnienie lekarskie, a teraz jest lato. Jesienią i zimą znów wróci do etatu w Miejskim Centrum Kultury i będzie tam pomagać w wydawaniu obiadów, opiece nad dziećmi w czasie ferii, sprzątnięciu stołówki. Póki co dogląda sześciolatniego wnuka Adasia. Kot mu właśnie wbiegł na nieduże drzewo.

- Adasiu, nie strasz kotka, bo będzie się bał.
- Babciu, on da radę zejść z góry?
- Da. Poczekajmy.

I tak się czeka. Na kota. Albo na mężczyznę. Kiedy się pojawi, będzie można wreszcie zająć się już czymś innym.

Winne

Pytam Jolę o Domek Numer Jeden, zamknięty na cztery spusty. Nikogo tam nie ma. Okazuje się, że zamiast nudy straszy tam śmierć.

Jola opowiada mi, że do niedawna mieszkała tu, w budynku pomalowanym najciekawiej, na żółto, choć zaniedbanym jak wszystkie na osiedlu, czteroosobowa rodzina: Paulina, jej partner Darek i dwoje ich dzieci. Kiedy Darek zaczął strasznie pić, kobieta wyprowadziła się w kwietniu do swojej mamy. W maju znaleziono go martwego – wylew, zawał i jeszcze uduszenie się własnymi wymiocinami. Leżał na plecach. Lekarz mówił do jego ojca, że gdyby Darek upadł nie na wznak, inaczej mogłoby to się skończyć.

– Nie wiem, czy był tak pijany, że się nie ratował, czy to było tak poważne, że nie zdążył. Ale żał człowieka. Nigdy z nim się nie pokłóciłam. Zawsze pomógł, jak poprosiłam – wspomina dalej z sentymentem Jola. – I poszła fama, że gdyby ona została z nim w domu, to może do tego by nie doszło. Bo jak to w takich małych miasteczkach: jak umiera mężczyzna, wszyscy mówią, że to wina kobiety.

I tłumaczy: on pracował, a kiedy nie pracował, to pił, ona też miała problem alkoholowy, ale wcześniej niż on. Przez nią się rozpił, bo tak się tym zdenerwował. Jak zaczął pić, to się wciągnął tak, że aż doszło do tragedii. W tej tragedii ona go zostawiła.

Jola kilkanaście lat temu była Pauliną. Pierwsze dziesięć lat małżeństwa jej się udało, kolejnych dziesięć już nie. – Potem pojawił się alkohol – tłumaczy. – Tutaj jest tak przyjęte, że za fuchy po godzinach daje się wódkę. Wódka jest takim prezentem akuratnym. Nikogo nie obrazisz, tylko tak w sam raz docenisz. Można się zagubić i wypić za dużo. I mój Andrzej jako spawacz, a spawacz ma zawsze dużo fuch, był na tyle słabą osobą, że zaczął pić. Aż zmarł. Sąsiedzi oskarżyli mnie o jego śmierć.

Jola tak rozumie mechanizm obwiniania kobiety: dlaczego ten mężczyzna pije? Pije, dlatego że mu w domu niedobrze. A dlaczego ma w domu niedobrze? Bo ma niedobrą żonę.

Rodzina po śmierci Darka nie pozwoliła Paulinie i dzieciom wrócić do domku, w którym wcześniej mieszkali. Darek odziedziczył go po babci. To żadna Pauliny własność, ślubu nie mieli, niech idzie do swojej rodziny. Dom stoi więc pusty od kilku miesięcy.

„Rak”

Starsze kobiety w Raciążu przyznają, że status kobiety wyznaczony jest tutaj przez obecność mężczyzny. Jakiegokolwiek, byle był. Ada, córka Joli, ma 26 lat i nie ma przy sobie żadnego. – Najpierw sama o Błażeja zabiegała. Nic dziwnego, to niesamowicie przystojny

chłopak i gotował dla niej obiadki. Potem stwierdziła, że to głupi plastik – tłumaczy mi jej mama. Ada nie chciała być z byle kim.

– Jak już się rozstali, pojechałam z nią, pamiętam, że w Dzień Matki, na badania do Warszawy, na Wawelską. Było podejrzenie raka piersi. Chciałam jej towarzyszyć, bo myślałam, że jest dziewczicą, a miał ją niby po raz pierwszy badać ginekolog. Skinął na mnie ręką na szpitalnym korytarzu w taki sposób, że od razu w głowie mi zaświtało: Boże, coś się dzieje. Okazało się, że to nie rak, a piąty miesiąc ciąży. Do mnie nawet nie dotarło, że będzie dziecko. Lekarko- wi rzuciłam: wielkie mi co, że ciąża. Tak się bardzo cieszyłam, że nie ma śmiertelnej choroby, tylko jakiś włókniaczek.

Odkąd Jola ochłonęła po „raku”, nie mogła uwie- rzyć, że skoro córka chciała się kochać, to się nie zabezpieczała. Przecież w lodówce cały czas leżały tabletki antykoncepcyjne, mogła poprosić o opakowanie dla siebie. Przyjaźniły się z córką, w domu nie było tematów tabu, taka serdeczna atmosfera pomię- dzy nimi, jakiej w innych domach nie ma. Ale stało się. Z niedoszęłego „raka” urodził się Adaś.

Z ojcem swojego dziecka Ada nigdy nie próbowała się związać. Adaś rośnie więc jako jedyny mężczyzna w domu. Im starszy, tym robi się coraz bardziej niezręcznie. Nie mają łazienki, wodę trzeba podgrzewać w garnku i kąpać się w misce w jednej z dwóch izb.

A Adasia zamykać w pokoju, żeby nie podglądał nagej mamy albo babci. Ani cioci Magdy, drugiej córki Joli, która mieści się jeszcze z nimi na tych niecałych trzydziestu metrach.

W mieszkaniu Joli, Ady, Adasia i Magdy tynk sygnie się na głowę, a jak się napali w piecu, całe mieszkanie jest w czadzie. Wietrzy się je przez godzinę, a w tym czasie traci ciepło. Więc od wielu lat starają się o mieszkanie od miasta. W takich mieszkaniach: komunalnych, socjalnych, zastępczych w Raciążu mieszka blisko jedna czwarta z prawie pięciu tysięcy mieszkańców.

Jan Chądzyński, emerytowany nauczyciel, dawny radny, mówi, że nic się nie zmieniło w tej sprawie od 1972 roku, kiedy w filmie dokumentalnym o Raciążu („Ojcowie miasta”) małżeństwo prosi prezydium o mieszkanie. Jakaś kobieta narzeka w kadrze z zazdrością i pretensją: – Powiedzieli, że dadzą mi mieszkanie, a nie dali, dali drugiemu.

Inny bohater filmu krzyczy: – Na to powinna być jakaś władza, bo ten mój mały dzieciak (pokazuje na niemowlę) już trzeci raz chory jest na zapalenie płuc. Zaczadzieli raz, to sąsiadka ich powyciągała na dwór i lekarz nie dał już nocować w domu, tylko u mnie. Do szpitala do Sierpca chciała żona go wieźć. Poszła raz, poszła drugi raz do prezydium – nic nie dali powiedzieć. To do Warszawy mam jechać się skarżyć?

W „Ojcach miasta” pojawia się jeszcze kobieta z dzieckiem na ręku, która tłumaczy burmistrzowi albo reżyserce Danucie Halladin: – Jak jest małeńki wiatr na dworzu, to już się u nas nie napali. Aż się ciemno robi. Dzieciaka to aż kiedyś nie widziałam. Wcale się nie nadaje to mieszkanie, ale jak człowiek nie ma gdzie iść, to tak siedzi i siedzi. No bo gdzie na ulicę pan pójdzie z tymi dzieciakami?

Lektor opisuje w filmie Raciąż jako „małe mazowieckie miasteczko. Trudne smutne wiano po XIX wieku. Odkąd sięga ludzka pamięć, życie było tu zawsze pełne niedostatku i rzadko spełnionych nadziei”.

Peciki

Nadzieje Joli i jej córek spełniły się w tym roku. Przeprowadzają się dwieście metrów dalej od obecnego zrujnowanego drewniaka. Dostały dużo większy lokal z łazienką, w murowanym budynku. – Ile my się nachodziłyśmy do burmistrza! – wzdryga się Ada, wyrzucając z siebie słowa jak karabin maszynowy pociski. – On nam chciał dać jakieś ze ślepą kuchnią i jednym pokojem. Na całe mieszkanie tylko jedno okno. Fakt, było wc, no, ale gdzie w ślepej kuchni cały czas? I nie można było tam ustawić mebli tak, żeby wszyscy się w jednym pokoju zmieścili. Te schody tylko takie niebezpieczne, ale powiedziałyśmy, żeby

nam zrobili poręcz. Skoro komunalne, mają na to fundusze, to niech robią.

Było 87 podań o to jedno mieszkanie, a właśnie one dostały. Jakaś starsza sąsiadka się na nie za to obraziła, bo jej wnuczka urodziła teraz dziecko, mieszka z chłopakiem, matką i rodzeństwem w jednym małym lokalu, a wniosek został odrzucony. – Mi nawet wymówiła sukienkę z Internetu. Ciebie stać na sukienkę z Internetu i starasz się o komunalną? – śmieje się z sąsiadki Ada. – Potrafili nawet zaglądać do torby z zakupami.... – dopowiada jej mama.

Ada tłumaczy, jak można się wystrząść o takie mieszkanie. – U nas nadzór budowlany stwierdził: nie do wiary, że ktoś pozwolił wam mieszkać w dotychczasowych warunkach. Cały dom jest do wyburzenia. W takiej sytuacji burmistrzowi zależało, żeby nas gdzieś dać, bo by karę zapłacili. Już poszły papiery z tego nadzoru. No gdzie, dzieciak mały, piec czadzi, sufit na głowę spada, no i ściany na głowę lecą.

Nowe mieszkanie jest w trakcie remontu. Na koszt miasta. Ada oprowadza mnie podekscytowana, mówiąc, jak zmieniały z mamą kolory na ścianach z niebieskich na brzoskwiniowe i beże. Sama wygląda jak fotomodelka z pism poświęconych modzie: ma szczupłe nogi, na które zakłada czerwone obcisłe spodnie, ponętny biust, który podkreśla czarnym T-shirtem, długie, ciemne, błyszczące włosy i usta intensywnie pomalowane rubinową szminką. Jak paznokcie, to koniecznie spiczaste i z akrylu.

Od miesiąca sprząta bloki koło urzędu miasta. Ta praca to los na loterii, bo wcześniej musiała dojeżdżać dwie godziny w jedną i drugą stronę do Brwinowa. Autobus zbierał ludzi po okolicznych wsiach i miasteczkach i rozwoził po „Piotrach i Pawłach”, ekskluzywnych marketach. Zarabiała 17 złotych za godzinę, ale dziecko jej nie znało, płakało, gdy wychodziła na busa, serce jej miękło i musiała zrezygnować. – Co z tego, że obsługiwałam Olbrychskiego z żoną, Pakosińską z kabaretu, jak przed świętami musiałam pracować dwa dni i jeszcze w samą wigilię. Aż klienci się dziwili, że jestem tam prawie codziennie na wszystkich zmianach.

Jak tylko dostała umowę o pracę, od razu załatwiła sobie, choć była zdrowa, zwolnienie lekarskie, znajoma lekarka jej wypisała na pół roku. Potem zatrudniła się w fabryce Wedla w Płońsku, ale „darcia” nie wytrzymała. Woli, żeby ktoś normalnie jej zwrócił uwagę, a nie krzykiem poganiał. Po trzech dniach już nie mogła patrzeć na „Delicje” i się zwolniła. Teraz czeka na pierwszą wypłatę za sprzątanie – 880 zł za cztery klatki i podwórko. Swojego Adasia upomina, kiedy wracamy stromymi schodami z ich nowego mieszkania: – Nie zbieraj tych petów, ja się już dzisiaj nazbierałam – mówi, że tam gdzie teraz sprząta bloki, to chyba cały blok je cukierki, bo pełno po nich papierków. – Ciekawe, czy gdyby oni zostali zatrudnieni do takiej pracy jak ja, to czy tak bezmyślnie rzucaliby te opakowania i peciki...

Panterka

Ta dziewczyna z noworodkiem, która nie dostała lokalu „przez” Jolę, Adę, Magdę i Adasia, to 21-letnia Natalia z drewnianego Domku Numer Cztery. Tlenione blond włosy, opalona cera, oczy bardzo mocno podkreślone czarną kreską i różowe paznokcie. Ma na sobie seksowną krótką halkę w panterkę. Zastają ją, kiedy siedzi na jaskrawozielonym plastikowym fotelu, na kolanach swojego chłopaka Daniela. Zakochani szybko zmieniają pozycję, kiedy widzą, że pojawia się ktoś obcy. Nad nimi przy wejściowych drzwiach na sznurku dyndają kolorowe ścierki. Zza futryny nieśmiało z zaciekawieniem wystawiają głowy siostra i brat i Natalii – 7-letnia Ala i 11-letni Filip, z irokezem. Taka fryzura jest prawie obowiązkowa dla małych chłopców w Raciążu, widziałam wielu chłopców w ten sposób ostrzyżonych.

– Tu kiedyś mieszkali Żydzi. Niedawno nawet jeden przyjechał, a Natalia nagrała komórką filmik, jak bujał się do przodu i do tyłu przed tutejszą synagogą, tą naprzeciwko naszego mieszkania – opowiada wytatuowany Daniel. – No, przyjeżdżają tu i zdjęcia robią, a właściwie nie wiadomo, czy to na pewno Żydzi – dołącza się Natalia, ale historia nie interesuje jej tak bardzo jak to, żeby pochwalić się remontem, który miesiąc temu zakończyli.

– Widzi pani, że na zewnątrz to nie wygląda, a można sobie w środku jakoś urządzić. Mama

wyremontowała swoją część dziesięć lat temu, a teraz nam odstąpiła jedno pomieszczenie, które niszczało nieużywane. Wcześniej, jak właścicielka tego budynku przyszła w odwiedziny, to wpadła przez dziurę – Daniel podziwia swoją zaradność.

Do niedawna spali w sześć osób na dwóch małych tapczanach w 9-metrowym pokoju. Po jednej stronie Natalia z Danielem i Fabianem (bo łóżeczko dla dziecka się nie mieściło), po drugiej mama Edyta z Alą, a pośrodku, pomiędzy łózkami, na podłodze, na materacu, Filip. Z pomieszczenia po dawnym sklepie, które znajdowało się w mieszkaniu mamy Edyty, wygospodarowali pokój z aneksem i łazienką.

– Tu nic nie było, nawet wody, kanalizację trzeba było doprowadzić, wszystko sami na swój koszt zrobiliśmy. Drzwi nowe wstawiliśmy. Tylko ogrzewania nie ma. Nie wiem, jak to zimą będzie. Piecykiem trzeba będzie grzać – mówi Natalia.

– Jeszcze w ciąży poszła do burmistrza po komunalne, a on jej otwarcie powiedział, żeby wzięła se kredyt i kupiła mieszkanie w blokach. Taki był uprzejmy, a tu dziecko jest małe. On, że jest więcej potrzebujących wielodzietnych i czekają na mieszkania – zali się Daniel. To nagadała burmistrzowi Natalia: – Mam sobie dzieci narobić? A za co je utrzymać?

Burmistrz Raciąża, Mariusz Godlewski, przyznaje, że dla niego urodzenie dziecka nie jest jakąś wyjątkową sytuacją, która zmieniałaby sytuację rodziny na liście oczekujących na mieszkanie. – W tej chwili

w komisji mieszkaniowej leży siedemdziesiąt podań i w każdym opisane są problemy i mieszkaniowe, i życiowe. Większość zainteresowanych czeka już kilka lat. Sporadycznie zdarza się, że ktoś nagle „wskoczy” na listę. Ostatnio tak się stało, gdy wyrzucono samotną kobietę z wynajmowanego mieszkania. Miała myśli samobójcze, kilkoro dzieci na wychowaniu i kurator nakazał nam zorganizowanie jej czegoś na przódce – rzuca przykładem burmistrz.

Urząd w Raciążu pracuje nad wprowadzeniem systemu punktowego w przydzielaniu mieszkań, bez subiektywnych decyzji rady miasta. Głównym kryterium będzie dochód, ale będą brane pod uwagę inne czynniki, np. niepełnosprawność czy czas oczekiwania. Za dwa lata w Raciążu rozpocznie się też budowa dwóch nowych bloków komunalnych. Burmistrz Godlewski obawia się jednak efektu kuli śnieżnej. – Kiedy jedni dostaną darmowe lokale od miasta, to zaraz ustawi się kolejka chętnych z podaniami. Może nawet kolejnych siedemdziesiąt chętnych rodzin. A my nie jesteśmy dostarczycielami mieszkań na zawołanie. I tak za mojej kadencji wyłożyliśmy ponad 1,5 mln złotych na remonty. Choćby na Kilińskiego łatwo rozpoznać, po nowych dachach i ociepleniu, które są prywatne, a które nasze – dodaje.

Spotkania z Natalią Gutkowską burmistrz nie pamięta, ale tak jak wszystkie rozmowy z mieszkańcami, tak i ta została zaprotokołowana (żeby później ktoś mu nie wmawiał, że coś innego zostało

powiedziane, bo tak już się zdarzało wcześniej). Za zgodą Natalii może upublicznić treść sprawozdania z rozmowy. – Owszem, mogło tak być, że zdroworozsądkowo doradziłem im kupno mieszkania, bo to jest po prostu szybsze niż czekanie przez kilka lat na mieszkanie komunalne albo socjalne. Młodzi ludzie powinni wchodzić w dorosłe życie z myślą o zapewnieniu sobie pracy i miejsca do życia. Bo jak potem zmotywować innych i wytłumaczyć tym, którzy pracują i biorą kredyt, że inni mieszkają za darmo, płacąc tylko 50-100 zł czynszu?

Natalia po zawodówce gastronomicznej pracowała trzy miesiące w cukierni, kiedy jeszcze mieszkali w Przasnyszu, potem już nigdzie. Daniel skończył tylko podstawówkę, jest pomocnikiem na budowie. Idzie tam, gdzie go chcą wziąć do roboty, zawsze na czarno. – Wszystkie pieniądze, co na dziecko wzięłam od państwa, to tutaj włożyliśmy w remont – mówi Natalia. – Jeden tysiąc z becikowego, drugi za coś tam, sama nie wiem. 3,5 tys. łącznie. Z Daniela pracy się utrzymujemy, co miesiąc koło tysiąca, a ja dostaję tysiąc złotych zasiłku przez rok od urodzenia Fabiana, no i „500+”, bo mamy mały dochód.

– Jakie mieszkanie by wam wystarczyło? – pytam o ich marzenia.

- Takie, żeby dziecko miało swój pokój.
- Trzypokojowe?
- Nieeee, trzypokojowe to za duże.
- Ile kosztuje nowe mieszkanie w Raciążu?

– A nie wiemy, nie interesowaliśmy się.

– Chcielibyśmy mieć kiedyś dom, a tutaj to jeszcze ze dwa, trzy lata posiedzimy. Syn podrośnie i musi mieć swoje pomieszczenie. Dziewczynę będzie chciał przyprowadzić, a tu nie da rady, bo w jednym pokoju są rodzice – przewiduje Daniel. Natalia marzy jeszcze o maturze.

Nawet nie wiem, kiedy zdążyła przebrać się z tygryziej halki w normalną szarą bluzeczkę z dużym dekoltem.

Żyjo i kombinuj

Mama Natalii, Edyta, idzie do pracy na drugą zmianę w markecie Topaz, na miejscu. Wcześniej rwała ręce w Drobinie, w zakładzie mięsnym u Olewnika. Co przyszła, to płakała, tak bolało od dźwigania klatek z mięsem, chociaż drobna nie jest, dużo siły ma. Aż Olewnik się spalił i pracę w sklepie w Raciążu załatwiła jej siostra, kierowniczką w dziale mięsnym. – Na Raciąż to może być taka pensja – mówi Edyta. Dostaje co miesiąc 1500 złotych, do tego 500 „od państwa” na Alę i Filipa.

– Zbłądziła, bardzo zbłądziła – mówi matka Edyty, która mieszka na tym samym drewnianym osiedlu. – Żeby jej pierwszy mąż nie pił, to robotny chłopak był z niego. Ale jak spróbował, to już koniec, po wszystkim.

– Bił?

– I to jak! Od nas z pięć telewizorów dostała używanych. Z mężem na raty jej braliśmy, od znajomych, a on, fru!, przez okno wszystko wywalał. Łóżeczko dzieciaka potłukł, z pięć ław stołowych. O Jezu, niemożliwe to było. A jeszcze na górze mieszkali, schody mieli niewygodne, ona się bała. Awantury bez przerwy. Naprzeciwko sobie mieszkanie wynajęła i z nim się rozwiodła, jak Natalia miała trzy miesiące. Zaginął gdzieś w Anglii, siedem lat się nie odzywał, policja deportowała go stamtąd za alimenty, trafił do więzienia. Nic dziwnego, że Edyta mówi: „U nas to jest takie bezrobocie, że same alimenciarze. To taki Raciąż jest”.

– Tu jest dużo takich, że żyjo albo nie żyjo razem, a rozwiody bioro, tylko tyle żeby skorzystać od państwa. Alimenty dostaje, „500+” dostaje i siedzi z mężem, a rozwód ma. Kombinuj – mówi babcia. – Potem pojawił się Ślązak, co przyjeżdżał do sąsiedniego sklepu do kuzyna. Ganiałam, nie dawałam. Co może pani zrobić? Chłopak żonaty, syna tam miał. Nie było przyszłości, wrócił na Śląsk – narzeka. – Potem urodził się Filip. Alę miała z innym, takim na krótko, szkoda gadać. Powiedziałam jej: ostatni raz. Mnie przepraszasz i pamiętaj, żebym więcej nie widziała takich chopków. Na razie jest jako tako. Dzieci chowa, pracuje. Jak mi się oczy zamkną, to nie wiem, co będzie.

Takiego rybaka

Jola rozmarza się na fotelu przed drewnianym domkiem, że jeszcze miłości by chciała, mieć kogoś bliskiego. – Mnie się marzy taki pirat, sponiewierany, z charakterem, żeby na tej twarzy było widać, że ten facet coś przeżył. Byłam kiedyś w Sobieszewie z moim byłym, poszliśmy na jakiś obiad i tam był taki rybak. Nie widziałam nigdy wcześniej tak przystojnego faceta. Miał około sześćdziesiątki, szpakowaty, opalony na heban, zmarszczki takie piękne w kącikach oczu, cudownie się śmiał i do tego cudowne, białe zęby. Miał niesamowita figurę, był średniego wzrostu. Nie nawidzę u faceta podkoszulki na ramięczkach, a on miał i mnie się to bardzo podobało.

Przez kilka lat spotykała się z oficerem BOR-u, „wspaniałym mężczyzną, nie doceniła go”. Ożenił się z inną, młodszą, o podobnych zainteresowaniach – strzeleckich. Jola żałuje i przyjmuje adoracje miejscowych, ale żaden jej się nie podoba. – Jest taki pan Henio. Dał mi kiedyś numer, zaprosił na kolację. Jak się z nim dyskutuje, to ma duży zasób słów, da się z nim porozmawiać na takie normalne tematy. Miałam do niego zadzwonić i podziękować za kolację, ale wysłałam SMS i on nie odpisał, więc ja się ujęłam honorem i powiedziałam, że się więcej nie odezwę. Dopiero później ktoś mi uświadomił, że on nie mógł mi odpisać, bo nie umie pisać. Jakie to musi być trudne...

Nigdy nie opuszcza Raciąży, może tylko tu czuje się bezpiecznie? Bo jak by przeczytał tabliczkę z nazwą ulicy...

– A ty jakie masz marzenia? – pytam młodszą córkę Joli. Magda jest nieco nieśmiała.

– Nie mam żadnych...

– A poznać ładną dziewczynę? – podpowiada jej mama.

– Oj, mammo...

– Magda lubi dziewczyny – tłumaczy za nią Jola. – Nie była nigdy z chłopakiem. Wie, że nigdy tego nie doświadczy, bo brzydzi się nimi. Uważa ich za brutalne jednostki. Czasem tylko chlapije jęzorem, jak się napije, że podobają jej się dziewczyny.

Magda mówi, że jedyną opcją jest dla niej Internet. W Raciążu nikogo dla siebie inaczej nie pozna. Jola opowiada, że była tu kiedyś młoda nauczycielka, lesbijka i poznała dziewczynę. I dopóki wszystko dało się ukryć, ta dziewczyna nie miała kłopotów. Jak nikt nic nie wie, to nic się nie dzieje. Jola wspomina: – Kiedyś ktoś tę nauczycielkę zauważył w niedwuznacnej sytuacji, zrobił się dym na całe to pieprzone miasteczko. W szkole dano jej do zrozumienia, żeby przestała pracować. Jej dziewczyna musiała wyjechać, Agnieszka została tutaj z łąką lesby i się rozpiła...

Na migi

Idziemy z Magdą na kebaba, do Kurda Orhana Enera. Prowadzi lokal na rynku w Raciążu. Chcę zamówić zestaw junior, ale właściciel mówi, że nie można.

– Dlaczego?

– Bo pani nie jest dzieckiem.

– Ale ja chcę małą porcję.

– Nie zrobię. Proszę zamówić normalnego, bo juniora sprzedaję tylko dzieciom.

W środku sami mężczyźni z fast foodami i piwem. Siadam grzecznie, zgodnie z nakazem na tabliczce, żeby po złożeniu zamówienia od razu zająć miejsce. Jeden z chłopaków wpatruje się we mnie, prosto w oczy przez kilka minut, aż w końcu nie wytrzymuję i pytam go, czy się znamy. Na co on ze śmiechem: – Nie mogę uwierzyć. To już wszystko jasne – a Magda tłumaczy mi, że to Błażej, ojciec dziecka Ady. Mam wrażenie, że odkrył orientację swojej niedoszłej szwagierki i to go tak rozbawiło, ale jego spojrzenie mogło oznaczać zupełnie coś innego.

Pozostali chłopcy, pracujący w firmach budujących stoiska na targach, które obok „Polmleku” są tutaj jednym z głównych pracodawców, zapraszają mnie na wieczór w dyskotecę „Mig” w Grabinie. Jakiś kibic Widzewa próbuje „ogarnąć” mi nocleg u siebie. Na zachętę tłumaczy, że „będę miała darmowy prysznic, wszystko mi da, o rękę poprosi”. Nie korzystam,

a następnego dnia spotykam go przy straganach pod kościołem z jakąś kobietą (żoną?) u boku. Trwa odpust parafialny połączony z pierwszymi od wielu lat dożynkami. Są wieńce na stelażach, częstowanie chlebem z emaliowanej tacy, bielanki sypiące kwiatami. Za dwadzieścia złotych można kupić książkę o historii parafii.

Mężczyźni w eleganckich koszulach kupują dzieciom obwarzanki, zabawki (w tym roku kręciły się spinery) i noszą swoim żonom torebki, pchają wózki. Kobiety w ładnych sukienkach serdecznie się uśmiechają, zajądają lody i ustawiają swoje córki w procesji, a potem wracają do dwudaniowych obiadów albo idą do parku, gdzie odbywa się festyn i czekają ze swoimi dziećmi w długich kolejkach do dmuchańców. Na scenie trwa obrzęd weselny z udziałem kilkuletnich dzieci w roli państwa młodych, a ich babć w roli starostów weselnych. Potem będzie przegląd kapel weselnych. Burmistrz dla zwyczajcy wyznaczył nagrodę 1500 zł.

Jola z Magdą śmieją się, że w Raciążu po każdej większej imprezie rodzą się dzieci „poochroniarskie”. Na jarmark przyjeżdżają faceci z Warszawy, z Płocka. Jola mówi, że to takie byczki napakowane, co bywają atrakcją dla miejscowych dziewczyn. Rekordzistka ma trójkę, każde co jarmark z innym mężczyzną, teraz żyje z „500+”, jeden z ojców płaci na dziecko alimenty. – Tu się tak żyje – wzdycha Jola.

Jak się żyje? Pytam właściciela kebaba, który do Raciąża przyjechał zaledwie kilka lat temu. – Tu państwo się chowa. Nawet zimą, jak chłopaki urządzają sobie rajdy samochodem dookoła ronda na rynku, to policja udaje, że nie widzi i radiowóz stoi gdzieś za blokami – kiwa głową Kurd Orhan, który chce w Raciążu robić badania medyczno-socjologiczne. Zastanawia się, czemu kobiety mają tu takie krzywe nogi. Czy to przez Czarnobyl, czy przez powszechny alkoholizm uprawiany od lat.

★

Raciąż, 95 km od Warszawy, 4 472 mieszkańców. Dumą miasta jest klub Błękitni Raciąż – drużyna piłkarska. Na głównym rondzie stała kiedyś fontanna w kształcie kielicha, którą nazywano „Pijakiem”. Kilka lat temu zamieniono ją na skalniak.

Marta Podbielska (ur. 1990, Siemianowice Śląskie).
Studiowała politologię na Uniwersytecie Śląskim
i dokumentalistykę na Uniwersytecie Warszawskim.
Dziennikarka prasowa, studentka Polskiej Szkoły
Reportażu.

Marta Podbielska

Laba diena, tu miłość

Na stole położyli mrowisko. Aż żal niszczyć tak delikatną konstrukcję, ale ani Dawid, ani jego ojciec, nie chcą wytłumaczyć, jak się za to zabrać. – Po prostu bierzesz w palce i jesz – instruuje Maciek, przyjaciel Dawida. Więc biorę w palce cienki chrust polany miodem, posypany rodzynkami i makiem. Słodycz popijana jest piwem, chłopcy zapraszają na biesiadę. – Tam to dopiero będzie multi-kulti – Maciek, choć jest gościem w domu Norkusów, jako jedyny ze mną rozmawia. Dawida trzeba ciągnąć za język, podobnie jego ojca. – Wiadomo, jak to jest, liczy się człowiek, a nie to, skąd pochodzi – bąkają jednomyślnie. Do pokoju wchodzi pani Krystyna, odprawia syna i jego przyjaciela na biesiadę, możemy rozmawiać o życiu.

Nie dowiem się od Norkusów więcej, niż że wrócili do Sejn ze Śląska po dwudziestu latach, bo nagle wchodzi znów Dawid i Maciek. Brakuje im tylko maczet i kijów bejsbolowych w rękach, tak groźnie wyglądają. – Masz skasować nagranie – żąda Dawid. – Ja jestem patriotą polsko-litewskim i ja sobie nie życzę być nigdzie opisywany.

Gęsi na granicy

– Ach, te nasze Kresy – Marian Przeborowski mówi z czułością. Siada powoli na krześle, opiera się przy tym o półkę, na której w ramach są zdjęcia wnuków i wizerunki świętych. – Ta nasza miłość polsko-litewska to trwa cały czas, od Jagiełły. Wtedy była unia, teraz jest unia. I my tak samo, jak wtedy, jesteśmy pomieszani. Moja żona, Litwinka, pochodzi spod samej granicy – wskazuje na siwiutką kobietę, która siedzi naprzeciwko.

– Kalwiszek to już na mapie nie ma – wzdycha Maria. Nie jest tak wylewna jak jej mąż. Splotła ręce, skrzyżowała nogi. – Ja właściwie to pod przejściem się rodziłam, a kiedyś przejście naprawdę było przejściem. Jak kura, gęś czy indyk uciekły, to już nie można było za nimi nawet nogą przekroczyć.

– Soldaty chodziły, to jak kura przez granicę ze Związkiem Radzieckim przeszła, to i człowieka, i kurę aresztowali.

– A ktoś gęsi mówił, że nie wolno przechodzić? Wzywano żołnierzy z Wojsk Ochrony Pogranicza, mówiło się, że gęsi uciekły i przeganiali. A teraz? Jak się popatrzy, jak przez granicę przejeżdżają, samochód za samochodem, nie wiadomo jakie rejestracje, teraz tego w ogóle ktoś pilnuje?

Litwin to wróg?

– Ja pani powiem jak to było z tą unią – mówi Józef, rosły Litwin. Ma 53 lata, w młodości niejedna musiała się za nim oglądać. Trochę z niego podrywacz, ale wybrał Lusię, dla której w ogień by się rzucił. Jak ten, który płonie w altance, gdzie nad wielkim piecem wyrzeźbiona jest para, a nad ich głowami po polsku napis „piwo”, a po litewsku – „alus”.

Lucyna na ryneczku w Sejnach myśla z koleżanką okna. W tańcu żadna jej nie mogła dorównać. A że Józef jest ludowym instrumentalistą, to z nią najlepiej mu się tańczyło. – Jogaiło ożenił się z Jadwigą, ona Polką też przecież nie była. My byliśmy bracia. Witold i Jagiełło Krzyżaków rozbili. Ale to są wodzowie litewscy. Witold nie mógł wybaczyć Jagielle, bo Witold to patriota był. A wiadomo, że w rodzinach też się kłóca, a nie tylko między narodami. Przecież Litwa była od morza do morza, oni nawet pod Moskwę potrafili zajść. Ja nie wiem, skąd tacy waleczni ci wojownicy byli wtedy, bo teraz... – Józef macha ręką. – Politycy mieszały w regionach. Te tereny były naprawdę litewskie, i z rąk do rąk ludzi przierzucali, a to zabór carski, a to pruski. W końcu Francuzi narysowali na mapie linię, i te ich rysowanie skończyło się tak, że chałupa po jednej stronie, a stodoła po drugiej. Tak wygląda polityka. Ktoś rzuci grosz, tylko po to, by pokłócić ludzi.

Tak, jak teść Józefa kłócił się z Lucyną o jej wybranka. Gdy go poznała, mieszkała jeszcze

z rodzicami, miała 18 lat, i nikt jej nigdy nie powiedział, że Litwini to wrogowie. – Od Sejn na północ, jest dużo Litwinów, a ja mieszkałam na południe. Ale tutaj się poznaliśmy, bo byłam na praktykach. Człowiek mało się przemieszczał, to nie wiedział, że jedne wioski są bardziej litewskie. Dopiero jak poznałam męża i jego rodzinę, byłam zaskoczona. To było dla mnie coś nowego, ale przyjęli mnie bardzo miło.

– Bo pani taka fajna Polka? – pytam.

– Że stary, 28-letni kawaler, w końcu sobie znalazł żonę – śmieje się.

– Jaki stary kawaler – oburza się Józef. – Ja grałem po weselach i mogłem mieć trzy dziewczyny naraz!

– Przecież twoja siostra była przeschczęśliwa – zauważa Lucyna.

– No dobrze – kapituluje Józef. – Mówiła: żeń się, smarkaczu, żeń!

Zamiast Sybiru Czaplinek

Płot w płot przy Zubowiczach mieszkają Jurkiewiczowie. Do ogromnego salonu prowadzi elegancko ubrana starsza kobieta. Tuż przy drzwiach wisi portret ślubny, na którym wygląda jak laleczka. Choć od zrobienia fotografii minęło prawie pół wieku, nic się nie zmieniła. Siada dostojnie na kanapie tak samo śliczna, choć już nie w lokach, za to z pajęczynką

zmarszczek przykrytą subtelnym makijażem. Miała 6 lat, gdy przyjechała z rodzicami i bratem bliźniakiem do Sejn. Po stalinowskich więzieniach w Polsce było ciągane pół jej rodziny, dlatego też w 1957 roku mogli wrócić w stare kąty. Ale to nie polscy nacjonaliści dali im w kość.

Było tak: rodzice Marii poznali się w Budzisku, mieszanej wiosce na granicy. Do domu rodzinnego jej matki zapukał policjant.

– Judycka, chodzi tutaj taki człowiek, dobry Litwin to jest, domy nam buduje, ale jest na liście na wywózkę na Sybir. Zrób coś, żeby go ratować.

– Ale jak? Przecież ja człowieka nie znam – broniła się młoda Judycka.

– Weź powiedz, że jesteś jego dziewczyną.

I zgodziła się. Po sto razy przychodzili do jej domu, po sto razy pytali, czy oni na pewno są razem, choć nie wiedziała, za co na Sybir miał jechać jej niby-chłopak. W końcu za sto pierwszym razem wkurzyła się i ryknęła ubekom w twarz, że jak chcą go zabierać, to mają i ją na ten Sybir wywieźć. A nawet nie tylko ją, ale i dziecko, które nosi pod sercem. A żeby się nie wydało, że w ciąży nie jest, wyjechali. Wtedy Litwinów wywozili w różne miejsca, a Judycka i rzekomy wróg ojczyzny spotkali się w Czaplunku, pod Koszalinem. Tam urodziły im się bliźnięta, a później wrócili w rodzinne strony, a w Sejnach dostali mieszkanie.

– Co ci ludzie przeżyli, to trudno sobie wyobrazić. Później też nie było lepiej, chociażby z tym

rozdzieleniem, że tu są Polacy, a tu Litwini. Rodzina męża była przeciwna naszemu związkowi. Na własnym weselu usłyszałam od jego ciotki, że oni, tu w Sejnach, Litwinów z gruntu nienawidzą. Rozpląkałam się w moim własnym domu, w tak ważnym dniu. Do końca życia nie zapomnę.

Pączki dla dziwaka

Maria Przeborowska też nie miała lekko, choć w szkole to właśnie ją nauczycielka prosiła o czytanie na środku klasy. Faktycznie, mała Marysia dobrze się uczyła, ale przecież polskie dzieci też mogły czytać. Z Marianem mieszkali najpierw w drewnianym domu dzielnym z wujami, póki nie wybudowali własnego obok. – Postawiłem się rodzinie, bo uważałem, że to jest moje życie – mówi dobitnie on. Wuj nie lubił Litwinów, a jak Maria piekła chrusty czy pączki, których jest mistrzynią, zanosila je też do drewnianego domu. – Wuj nigdy nic ode mnie nie przyjął. Był bogatszy od nas, mówił, że wszystko sobie może kupić. Więc zostawiałam ciotce, i jadła te moje pączki, tak, żeby ten dziwak nie widział – mówi Maria. – A gdy mój brat mnie odwiedzał, to mówił, że to dziad przyjeżdża. To i ja dla niego dziadem byłam – ścisza głos. – Matka też była podobna do niego, cała rodzinna, a ja im wszystkim na przekór – przerywa Marian. A gdy mama Mariana umierała, tylko syn jej został.

Z tą okropną Litwinką. I to właśnie Litwinka zmieniała jej pampersy, dawała jeść, opiekowała się. – A co powiedzieli wujowie, jak umierali? – rzuca w powietrze Marian. – Choć za żonę wzięłeś Litewkę, najważniejsze, że dobrą kobietą była.

Prestiżowy język

– Nawet nie wiedziałam, że ja żyję w małżeństwie mieszanym! – śmieje się Małgorzata Krywanis. – Tutaj wszyscy jesteśmy pomieszani, trudno znaleźć czystej krwi Polaków czy Litwinów.

– Wyobraź sobie, że to chyba ja tym Litwinem w naszym małżeństwie jestem, tak mnie też przezywali w szkole, a jak wyzywali moją rodzinę to biłem się do pierwszej krwi, takie były zasady – mówi Tadeusz.

Wychowywali się na jednej ulicy w Sejnach. Ona mieszkała w drewnianym domu bliżej bazyliki, on naprzeciwko sklepu Sawex. Ale dopiero na studiach bliżej się poznali. – Ja studiowałam biologię, mąż na AWF-ie w Warszawie, i tak do mnie przychodził na pocieszenie, bo do domu daleko, telefonów nie było, a człowiek chciał być bliżej drugiego – Małgorzata puszcza oko do Tadeusza. – A później to wszystko było spontaniczne. Zaszłam w ciążę, wzięliśmy ślub, mąż dostał pracę w szkole w Sejnach, później ja w liceum. Nikt się nie zastanawiał, czy dziecko urodzi

się zdrowe, chore, gdzie będziemy mieszkać. Nie było żadnego wielkiego planowania, po prostu wszystko się działo tu i teraz.

– A trzeba dodać, że w tym 1984 r., kiedy się pobieraliśmy, i czekaliśmy w kolejkach po meble do mieszkania, to były trudne czasy, gdzie niczego w sklepach nie było, a jak było, to trzeba było wystać. Nie to, co teraz – wyjaśnia Tadeusz.

– Trudne, ale wbrew pozorom było łatwiej. Wychowaliśmy dwie córki, jedna teraz mieszka w Pradze, druga właśnie na Litwie oglądała suknie ślubne, a mieszka w Warszawie. Wszyscy powyjeżdżali z tych Sejny, a tu się mieszka wspaniale, wszystko jest na miejscu, jak trzeba coś grubszego załatwić, to jedzie się do Suwałk. Ja Sejny kocham całą moją duszą! I aż przykro, że nasz ród tutaj wygasa – Małgorzata zamyśla się i zjada kawowe cukierki, które młodsza córka przywiozła z Litwy.

Przyznaje, że wychowywano ją w duchu antyliwskim, bo w domu Litwini nawet w myśli nie byli mile widziani. Jako dziecko pojechała kiedyś do babci od strony ojca, Litwinki. W domu zmówiła przed mamą pacierz po litewsku, bo ją babcia nauczyła, a modlitwa skończyła się awanturą. Nie ma pojęcia, dlaczego druga babcia nie lubiła Litwinów. Była wierząca, a jak Sobór Watykański zniósł msze w języku łacińskim, to babcia walczyła o to, żeby w sejneńskiej bazylice nie było litewskiej mszy. Później walczone między sobą o godziny. Teraz bazylika ma litewską

mszę w niedzielę o trzynastej i chór litewski i swojego wikarego. – To są właśnie pozostałości powstania sejneńskiego z 1919 r., kiedy Litwini i Polacy walczyli o to, kto ma tutaj rządzić – stwierdza. – Babcia mi opowiadała jako małej dziewczynce jakieś opowieści z krypty, że Litwini zdzierali skóry z Polaków. Takich historii się nasłuchało, to stąd w ludziach niechęć się urodziła.

– A wiesz, co moi mówili? – przerywa Tadeusz. – Stosunek Litwinów do Polaków narodził się z tego, że Polacy byli panami, mieli ziemię, a Litwini głównie u nich pracowali. I teraz mają kompleks poddaństwa, do tej pory nie mogą tego ścierpieć. Oni uważają, że te ziemie są ich.

Konflikt polsko-litewski zaostriżył się po zniesieniu granicy, kiedy upadł Związek Radziecki i otworzyła się droga na Litwę. Małgorzata wspomina, że Litwini pisali na murach „Rznać Polaków”, w dodatku z błędem ortograficznym, a w Sejnach pojawiła się plotka, że jeden z Litwinów innym płacił za wypisywanie obelg. Ale Polacy nie byli im dłużni. Dzieci przechodziły obok hasel „Dobry Litwin to martwy Litwin”, wymalowanych farbą na blokach.

– Ale to było kiedyś. Chociaż teraz moja dalsza rodzina pyta, dlaczego nie nauczyłem dzieci mówić po litewsku – ostudza atmosferę Tadeusz. – Niby język niszowy, mówi nim jakieś cztery miliony osób, ale prestiżowo wygląda w życiorysie. Córki, gdyby znały litewski, dostałyby awans, a tak znają tylko angielski.

Litewska szkoła

Karolis w życiu by nie przypuszczał, że będzie mówić po polsku. – Fajny był, a ja tylko czekałam na sobotę, kiedy znowu spotkam się z nim na dyskotecie – mówi Justyna, 33-letnia kosmetyczka. On przyjeżdżał z Litwy na imprezy w okolicach Sejna, a ona wybierała się tam z koleżankami. Wpadli sobie w oko, ale bariera językowa ich hamowała na tyle, że Justyna stwierdziła, że ich związek nie ma żadnej przyszłości. – Ja nie rozumiałam jego, on mnie i straciliśmy kontakt – tłumaczy.

Tylko że Karolis nie przestał o niej myśleć. Po tajemnie, z kolegą Polakiem, uczył się polskiego. Po dwóch miesiącach zadzwonił, a ona nie wierzyła, że nie mówią po angielsku. Ale zanim zamieszkali razem, ona wyjechała do Warszawy. – Człowiek w tym ogromnym mieście docenił to, co miał tu. Inni przecież płacą za to, żeby skorzystać z naszych jezior i lasów, a my mamy to za darmo – przekonuje. I wróciła nie tylko do natury, ale i do miłości. Zamieszkali razem, pobrali się. Karolis składał przysięgę po litewsku, ona po polsku. Goście pili i po polsku, i po litewsku. A gdyby Karolis i Justyna mieli się kłócić? – Człowiek mniej wie, to mniej powie – śmieje się.

Ale małego Adasia, który urodził się rok po weselu, wysłali do przedszkola z językiem angielskim, a nie do Żiburysu, litewskiej szkoły w Sejnach, gdzie zwykle trafiają dzieci z rodzin mieszanych lub litewskich.

Do niej z kolei chodziły dzieci Zubowiczów. – Ja to sam już czasem nie wiem, po jakiemu ja gadam, ale dzieci po polsku, litewsku i angielsku mówią świetnie – Józefa duma rozpiera. Jedna córka jest już po studiach w Wilnie. Druga zaczyna właśnie liceum w Puńsku, miejscowości położonej 60 km od Sejn, w której 90 proc. mieszkańców to Litwini, bo w Żibursie uczą tylko do gimnazjum. Młodszy syn jeszcze nie może zdecydować, czy woli studia w Polsce, czy na Litwie.

– W domu mamy też litewską telewizję, jedenaście kanałów – mówi Lucyna. – Nauczyłam się litewskiego przy mężu, to oglądamy razem. Tam wiadomości są zupełnie inne, więcej się człowiek dowie co się dzieje w Australii czy w Ameryce Południowej, gdzie u nas się o tym nie mówi. Litwa to mały kraj, mało się tam dzieje, ale bandytów to z imienia i nazwiska podają, nie żaden Henryk Z. i czarny pasek na oczy – wyjaśnia.

Obrażony Polak

Gdy Maria Jurkiewicz opowiada o tym, że po obraźliwych hasłach w kierunku Litwinów nie ma ani śladu, i że litewski z Sejn to nie jest język literacki, a raczej przypomina gwara, na którą mówi się tutaj, że jest chachłacka, wchodzi Edward. Jest mniej rozmowny i mniej elegancki niż żona. Jakiś wstyd go ogarnia, gdy zaczyna opowiadać o ich początkach. O pokoju na

stancji, który wynajmował u mamy Marii, gdy chodził do zawodówki, o tym, że się nie znosili. Gdy szli ze znajomymi do kina, Maria szła po drugiej stronie ulicy. Powiedziała, że nigdy w życiu nie wyjdzie za rudego ani piegowatego. A ten piegowaty z wojska z Olsztyna wysyłał telefonistce z Sejn listy, zapraszał na zabawy. A że ona chciała zrobić na złość jednemu Tolkowi, to na jednej z prywatek tańczyła tylko z Edwardem.

Ojciec Marii też nie był do niego przekonany.

– Chciał Litwina, ale i tak się tacie poszczęściło, bo brat wziął sobie żonę z Kowna – kwituje Maria. Edward nigdy nie uczył się litewskiego, ale pamięta, jak powiedzieć „kocham cię”. – Przecież słyszę to czterdzieści sześć lat! I piosenki śpiewam też po litewsku – chwali się i już zaczyna nucić.

– W zeszłym roku na Sylwestra odwiedziła nas moja koleżanka z Litwy. Była wręcz zdezorientowana, że jak Edek mówi – to po polsku, a jak śpiewa – to po litewsku – Maria zaczyna się śmiać. Ale atmosfera przygasa, gdy pytam, czy ich dzieci mówią po litewsku. Maria zerka na Edwarda, a ten jakby zapadał się w sobie.

– Głupi byłem – mówi w końcu. – Chciałem dom zbudować. Poprosiłem teścia, czy mi pomoże. A teść na to, że jak mu zapłacę, to będziemy budować. I się obraziłem. Córce domu nie chce pomóc budować? To dzieci po litewsku nie będą mówić – kwituje z naburmuszoną miną.

– Co ty, ojca mojego nie znałeś? Przecież on żartował – Marii znowu wraca humor.

– Przecież mówię, głupota taka we mnie była. Gdyby teść nie powiedział...

– Mnie nie słuchasz, a teścia będziesz słuchać. Z kim mieszkałeś?

– U teścia mieszkaliśmy pięć lat. I teściowa burczała na niego.

– I ty też burczysz.

– A burczę, każdy musi sobie trochę poburzyć. Ale tam, za krótkie życie, po co się kłócić – już Marii całusa w policzek daje. – I tak w życiu wygląda, u nas spokojnie jest. Jak przyszedłem się uczyć, to mało kto po litewsku mówił w Sejnach.

– Niektórzy to się wypierali, że Litwinami są. Mnie w szkole jedna nauczycielka nie chciała na zawody taneczne wysłać, a tańczyłam lepiej niż moje koleżanki Polki.

– Ja zawsze mówiłem, że mam żonę Litwinę. Bo mi się podobała, i tyle. To z góry jest narzucone, kto komu jest dany. A jak granicę otworzyli, to się nagle ludziom i gęby pootwierały.

Chleb z kminkiem

Litewski nagle zaczął rozbrzmiewać na ulicach i w kolejkach. A gdy kilka lat temu w Sejnach postawiono Biedronkę, nikt nie pomyślałby, że stałymi klientami będą Litwini. Od 2015 r., gdy lit zamieniono na euro, Litwini przyjeżdżają na zakupy. Na parkingu

połowa samochodów ma litewskie rejestracje, wchodząc do sklepu mija się wypełnione po brzegi koszyki. Dwie palety jogurtów, dwadzieścia kilogramów cukru, całe opakowania słodyczy.

– Przecież każdy umie liczyć. Co to jest, przyjechać z takich Łódziej? Zamiast płacić 8 zł za jogurt, wybierają polski za 1,50 zł – wtrąca Maria. I choć sama się bogaci, obecność Litwinów nie zachwyca mieszkańców. – Niech sobie tu żyją, ale dlaczego w kolejce w polskim mieście mówią do siebie te Litewki po temu, chachłackiemu? Przecież znają polski – mówi ostro Basia, 51-letnia farmaceutka.

Teraz wszyscy w Sejnach wiedzą, o której godzinie iść do Biedronki, żeby nie natrafić na kolejkę. Zresztą o sejneńskiej Biedronce było głośno w telewizji. – Mówili, że jest na podium najlepszych Biedronek w Polsce – zdradza Maria. Biuro prasowe marketu nie potwierdza tego, ale zaznacza, że trudno się temu dziwić, bo przygraniczne sklepy są w naturalny sposób miejscem zakupów dla klientów z sąsiednich krajów. I choć rąk do pracy ciągle brakuje, Ania, 29-letnia kasjerka, nie narzeka. – Mimo, że przyjeżdżają tu co tydzień, potrafią zostawić nawet po tysiąc złotych, a średnio to tak pół tysiąca, i ciągle pytają, gdzie jest mleko, jakby zapomnieli gdzie leżało tydzień temu. Zdarzają się miłe sytuacje, czasami zostawiają nam, chyba w podzięce, litewski chleb. Taki pyszny, z kminkiem. Albo kielbasę suszoną, której w Polsce nie ma. A że gadają po swojemu i nikt ich

nie rozumie? Przecież my też do nich jeździliśmy, jak u nich było taniej.

Dwa słowa

– Ja się cieszę, jak mogę porozmawiać po litewsku – Maria Przeborowska się rozpromienia. – Z Marianem mieszkam prawie pięćdziesiąt lat. Jak go tak denerwuje, że nie rozumie, co w kolejce mówimy, to trzeba było się nauczyć – patrzy na męża przenikliwie.

– Znam dwa słowa po litewsku – nieśmiało mówi Marian. – Laba diena, dzień dobry.

– Proszę bardzo, dokładnie czterdzieści osiem lat razem i potrafi powiedzieć tylko laba diena – pani Maria nie przestaje dokuczać.

– O, i jeszcze wiem, jak jest dziewczyna i chłopak! – triumfuje pan Marian.

– A „kocham cię”? – dopytuję.

– Kocham cię? To przecież po polsku można powiedzieć.

★

Sejny, 133 km od Białegostoku, 5 543 mieszkańców. Mniejszość litewska stanowi ok. 25 proc. mieszkańców. W Białej Synagodze odbywają się spektakle, wystawy i koncerty organizowane przez Ośrodek „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów”.

Martyna Wojtkowska (ur. 1990, Sokółów Podlaski)
Absolwentka socjologii i dokumentalistyki,
studiowała też psychologię na Uniwersytecie
Warszawskim. Pisze reportaże i pracuje przy
filmach dokumentalnych.

Martyna Wojtkowska

Syndrom małego gniazda

- Tato, a ty byś chciał, żebym wróciła do Sokołowa?
 - Dziewczyno, przecież to zadupie takie, że głowa mała.

★

Od dwudziestu siedmiu lat Sokołów Podlaski jest moim domem, a przez ostatnie jedenaście lat to dom, do którego wracam. Z różną częstotliwością. W pierwszym roku rozstania przyjeżdżałam w każdy piątek i dwa dni później, z torbą sportową wypakowaną licealnymi książkami, prawie dwie godziny telepałam się busem z powrotem do Warszawy. W kolejnych latach powroty stawały się coraz łatwiejsze, bo torbę zastąpiłam walizką na kółkach, a jeszcze później kupiłam pierwszy samochód.

Ale do Sokołowa przyjeżdżałam coraz rzadziej.

Nie pamiętam, kiedy przestałam rozpoznawać twarze na ulicach. To było jak stopniowo postępująca choroba, która powoli i skrupulatnie zajmowała

kolejne tkanki. Zabierała głównie twarze. Budynki i układ ulic pozostały bez zmian, chociaż raz na jakiś czas coś przybywało, coś znikало, ale Ośrodek Kultury stał jak zawsze przy ul. Wolności. Duży Kościół, Stary Szpital, Salezjanie, Cukrownia, Zakłady Mięsne, Złodziejów, Biedronki i Topazy w niezmienionych odległościach i proporcjach są tam, gdzie były. Tylko górka na Piłsudskiego, z której kiedyś zjeżdżałam na sankach, wydaje się nieco spłaszczona i bardziej zarosnięta. Ulicami, których nazwy znałam, zaczęli poruszać się wyłącznie obcy ludzie. Ale to nie była choroba, tylko kolej rzeczy. Studia. Znajome twarze wyjechały na studia. Do Warszawy, Gdańska, Łodzi, Lublina, Wrocławia, Białegostoku, Krakowa... Wtedy powroty do Sokołowa stały się dla mnie wyłącznie powrotami do rodzinnego domu, czasem z krótkim wypadem na lukrowane księżycy w cukierni u Roli. W ciągu ostatnich dwóch lat byłam w tym mieście nie więcej niż dziesięć razy, ale zawsze mówiłam z pewnością: Sokołów to dom, a Warszawa – mieszkanie. Nigdy nie zakładałam, że wyjeżdżam na zawsze i dzisiaj zastanawiam się, jak by to było wrócić.

W trakcie jednej z weekendowych wizyt, w przerwie meczu rozgrywek ekstraklasy, zadałam tacie tamto pytanie. Uciął krótko i wyszedł do kuchni. Wypowiadając tamte słowa o zadupiu, śmiał się, ale nie patrzył w moją stronę. Zawsze tak robi, kiedy jest zmieszany. Oglądamy drugą połowę. Następnego

dnia wychodzę między nieznajome twarze i pytam, jak się żyje w Sokołowie.

Marek sprzedaje męskie koszule na bazarze przy ul. Magistrackiej. Flanelowe w kratę rozwiesił na trzech prowizorycznych ściankach, a okolicznościowe, owinięte każda osobno w przezroczystą folię, rozłożył przed sobą na stole, jak karty w pasjansie. Czeka na klientów, ale nie tylko. – Przeprowadziłem się ze Sterdyni i mieszkam w Sokołowie od dziewięciu lat. Przyjechaliśmy tu z żoną ze względu na dzieci, żeby miały bliżej do szkoły. Tyle że to miasto jest dobre do końca szkoły średniej, a jak ktoś chce się rozwijać, to nie ma gdzie. Dlatego wszyscy moi synowie stąd uciekli. Dwóch do Warszawy, a trzeci studiuje w Białymstoku. Raczej żaden tutaj nie wróci. Bo gdzie będą pracować? Jak mój syn informatykę skończył, to w Warszawie od razu pracę dostał. W Sokołowie to raczej wątpliwe... Chociaż dobrze by było, gdyby któryś z synów wrócił. Dziesięć lat temu postawiłem tutaj dom, nowy, i teraz praktycznie nikt w nim nie mieszka. Moja życiowa inwestycja minęła się z celem.

Jurek też czeka, w czerwonej skodzie, na żonę. Pół godziny temu poszła do mięsnego po zakupy, a on słucha radia i obserwuje ulicę w bocznym lusterku. Przesiaduje tak co tydzień, czasem z kimś pogada. – Chcesz wrócić do Sokołowa? Jak ci ktoś

po znajomości pracę dobrą załatwi, to wracaj. Po studiach to pewnie najlepiej byłoby ci z pracą biurową, żeby nie było przykro i żeby jeszcze jakoś zarabiać, ale bez znajomości nie masz na co liczyć, bo dla takich z wyższym wykształceniem to roboty nie ma. Moja córka po studiach jako sprzedawca pracuje, dojeżdża codziennie dziesięć kilometrów do Sokołowa, bo wyszła za męża na wieś, a tam z pracą jeszcze gorzej. Mi się wydaje, że jest szczęśliwa. Oboje z mężem pracują, mają dzieci, mieszkanie. To jest po mojej myśli. No bo czego więcej chcieć? Dzieciaki rosną, widzę, że się nie ganiają, a to znaczy, że są zadowoleni. A z pracą... No wiadomo, że w Sokołowie nie ma kokosów. Po kokosy trzeba jechać gdzie indziej.

Praca w sklepie to dla kobiety najlepiej. Tylko nie w Biedronce, bo tam cały czas klienci i trzeba robić jak maszyna. Ale jeszcze gorzej jest na ubojni. Wiem, co mówię, bo moja żona pracuje przy mięsie. Wstaje o czwartej rano i wraca koło szóstej. Przez dziewięć godzin na taśmie. W latach osiemdziesiątych dwie osoby na tym stanowisku pracowały, a teraz jedna. Kiedyś tysiąc dwieście świń dziennie na taśmie schodziło, i to było dużo, a teraz osiem i pół tysiąca. Biznes. Więc kobiecie lepiej w takim sklepie z odzieżą albo zabawkami.

Ja już nie dam rady ciężko pracować, bo mam astmę. Ale jak ma się sześćdziesiąt lat to już nie ma co się mocno rozwijać, nie? Oby zdrowie było, to się do

końca jakoś dożyje. Żona pracuje, dzieciaki usamodzielnione. Wszystko mam. Z synem mieszkamy, to starych może nakarmi. Bo jak się ogląda w telewizji, to bywa rozmaicie. Czasem pracuję jako stróż, ale jak to mówią *praca stróża to pensyjka nieduża*, ale radyjka można posłuchać, trochę z kimś pogadać... Raz na jakiś czas obchód trzeba zrobić, posprawdzać obiekty, odbić czujki. Tam się wyświetla, czy byłeś, czy nie byłeś i ten sygnał aż do Wrocławia idzie. Nie ma, że coś oszukasz szefa. Nie byłeś, to niezapłacone.

Na wczasach byłem cztery razy. W sanatorium w Kołobrzegu, w Świnoujściu i dwa razy w Jedlinię-Zdroju. Jak pierwszy raz pojechałem, to pięć tysięcy złotych wydałem. Tyle co za traktor buraków! Chodziłem i jod łykałem. Te pięć tysięcy to nie za jod, ale za dodatkowe zabiegi. Nie spieszyłem się z powrotem do domu. W sanatorium czas leciał jak woda. Dzień to jak pół dnia było. Kąpiele, masaże, dyskoteki, wycieczki, które proponują. Jest co robić, tylko trzeba płacić. Niczego nie żałuję. Wróciłem zadowolony. Pracować, pracowałem. Pieniądze mam. Zdrowia brakuje. Żeby dało się kupić... A ty lepiej męża z pozycją szukaj. Biznesmena jakiegoś, żeby nie pracować.

Zamiast biznesmena szukam kobiety, której się poszczęściło: w sklepie odzieżowym. Beata ubiera troje swoich i dziesiątki innych sokołowskich dzieci. Zza szklanej lady oprócz rozmiarów śpiochów doradzi, co

zrobić, jak teściowa za bardzo wtrąca się w wychowanie, ale bywa, że po prostu wysłucha. – Tak, myślę, że w Sokołowie kobiecie najlepiej pracuje się w sklepie odzieżowym. Jest ciepło, nie trzeba nosić ciężkich rzeczy. U mnie najcięższe są wózki i foteliki, ale nie muszę ich dźwigać na co dzień. Praca w sklepie jest o tyle dobra, że mam kontakt z ludźmi. Kolega, który koło mojego sklepu sprzedaje jabłka, mówi, że robimy tu za psychologów. Przychodzą klientki, muszą się wygadać i przynoszą ciekawe historie. A to się syn urodził, a to wnuczka przyszła na świat... Wiadomo. Ja tu mieszkam od urodzenia. Po ślubie przeniosłam się na wieś, ale cały czas pracuję w Sokołowie, więc jakbym się nie wyprowadziła. Rozrywki jakieś są. Na pewno dyskoteki, kluby. Ja nie bywam, bo mam dzieci i ciężko mi się wyrwać z domu, ale swojego męża poznałam w dyskotece, więc kiedyś nie było tak źle. Odkąd są dzieci to raczej parki, spacer... Dawno nikt mnie nie pytał, co lubię robić, bo najpierw jest to, co muszę, a dopiero później to, co lubię, o ile znajdę czas. Lubię czytać i robić biżuterię. Ciężko na to znaleźć czas przy trójce dzieci. Czas mam, czasem. Ale wtedy wybieram odpoczynek. Ostatnio udało mi się zajrzeć do jakiejś książki o wychowaniu dzieci i to tyle z mojego czytania, a z biżuterią to pewnie na miesiąc się liczy, jak nie usiadłam do koralików. Leżą na półce i czekają, aż uda mi się z godzinę wyrwać, jak już wszyscy śpią. Ale jestem szczęśliwa. Matka, żona, pracująca... Gdybym nie miała pracy, to myślę,

że byłoby całkiem inaczej. Tu nie ma mowy o awansie, ale z ludźmi zawsze jest o czym pogadać. Czasami przyjdzie jedna klientka i gada pół godziny, dopóki następna nie wejdzie. Przyznam, że dostałam tę pracę po znajomości. Doświadczenie jakieś tam wcześniej miałam w handlu, więc się udało. Kolejkę przed tym sklepem widziałam tylko raz i to było wtedy, jak była rozmowa kwalifikacyjna! Gdyby nie znajomości, to mogłoby być ze mną różnie... Jak się dostanie taką pracę, to trzeba się jej trzymać, a ja po paru miesiącach pracy poszłam na macierzyński i był stres, czy uda się wrócić, ale po półtora roku znowu stałam za kasą. Wiadomo, że jeżeli szef jest dobry, to się uda. Mógł mi po prostu podziękować, jak urodziłam dziecko i znaleźć sobie jakąś inną... Zastępstwo było, sprawdziło się, ale tamtej pani podziękował i wziął mnie z powrotem. A marzenia? Jedno mam od dawna. Nie wiem dlaczego, ale uwielbiam żyrafy i zawsze mi się marzyło, żeby jechać do Australii. Ale to marzenie, to może na emeryturze, jak będzie duża skarbonka. Wiadomo, że do Australii leci się długo i na pewno nie jest tanio. To jest jedno z takich dużych marzeń. A z mniejszych... żeby było dobrze, żeby dzieci były zdrowe, szczęśliwe, spełniały marzenia i żeby z mężem nie było kłótni.

Szczęśliwa jest Ruda. – Może nie na sto procent, ale jestem.

W parku przy basenie rozmawiamy jak dwie obce osoby, chociaż musiałyśmy widzieć się już wcześniej. Rówieśniczki z tej samej podstawówki i parafii. Dla Rudej wieczność liczy dwadzieścia siedem lat, tyle, ile spędziła w Sokołowie.

– Tu się urodziłam, tu się wychowałam i tutaj umrę. *Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej*, prawda? W takim razie, jak ma mi się tutaj nie podobać? W Sokołowie można robić różne rzeczy. Za Biedronką są kręgle, za Salezjanami zimą łyżwy, co się komu podoba. Tylko z pracą ciężko. Żeby jakkolwiek dostać, to trzeba mieć papiery, a już najlepiej papiery o niepełnosprawności.

Nigdy nie mieszkałam poza Sokołowem, ale pokusy były, żeby wyjechać i sprawdzić, jak by to było gdzieś indziej... Ale zaraz przychodzą też myśli, że byłabym sama, w obcym świecie. Musiałabym znaleźć pracę, mieszkanie. Jest też takie powiedzenie: *wszystko lepiej smakuje od matki ręki*. Wszystko mogę sobie zrobić sama, ale wtedy już tak nie smakuje. Mam fajnych rodziców, więc po co miałabym wyjeżdżać? Nie wiem, dlaczego niektórzy uciekają...

Dla Rudej Sokołów to najlepsze miasto na świecie. Inne miejsca zna z opowieści.

Natalia ma trzynaście lat, kolorowy makijaż i ozdobną torebkę. Nie może spóźnić się na urodziny koleżanki, więc rozmawiamy przez pięćset metrów, od urzędu miasta do kręgielni Yunavi.

– Przeprowadziliśmy się do Sokołowa ze Starejwsi, z wioski do miasta. Stwierdziliśmy, że tak będzie wygodniej. Mieszkam tu od półtora roku. Jest fajnie, chociaż niektóre okolice są niebezpieczne. Przy mojej szkole, czwórce, jest taka ulica, którą sama nie chodzę. Pijani faceci zaczepiają i męczą o dwa złote.

Najczęściej umawiamy się z koleżankami na winny. To takie miejsce, gdzie można posiedzieć i pogadać, niewielka wnęka między budynkami z takim jakby parkanem. Latem często tam chodzimy, zimą rzadziej, bo za zimno. Trzy, cztery osoby. Na placu zabaw też można się tak zgadać. Co innego, jak są urodziny. Wtedy spotykamy się w czyimś domu, kinie, albo na kręgielni. Nie wyjadę z Sokołowa na zawsze. Może na trzy lata, do gimnazjum wojskowego, bo chciałabym zostać policjantką. Zobaczymy, czy mama mnie puści.

Nie wiadomo, czy Natalia wyjedzie, ale ciekawe, czy nadal będzie spotykać się z koleżankami na winnych, jeśli wróci.

Z Anią rozmawiamy przy ulicy Wolności, blisko zatoczki, która najbardziej łączy Sokołów ze stolicą. To z tego miejsca czerwone i żółte busy kilka razy dziennie ruszają do Warszawy. Ania ma nadzieję, że już niedługo będzie tu kupowała bilet z ulgą studentką, za piętnaście złotych. Jest maturzystką w liceum na Sadowej i marzy się jej medycyna. – Mam osiemnaście lat i mieszkam w Sokołowie od urodzenia.

To bardzo przyjazne miasto. Jest taka rodzinna atmosfera, mili ludzie... Gram na saksofonie i gitarze, chodzę na chór. Mogę pływać, bo mamy pływalnię. Są zajęcia sportowe. Teraz uczę się do matury i muszę się przyłożyć, bo chcę zostać lekarzem. A to znaczy, że będę musiała wyjechać z Sokołowa. Wiadomo, że w życiu każdego człowieka przychodzi taki czas, że musi porzucić swoje miejsce zamieszkania, swoje miasto, i jakoś iść dalej. Żeby spełniać swoje marzenia, muszę gdzieś iść naprzód. Cieszę się, bo dzięki temu mogę wyjechać, ale zostawiam przyjaciół, rodzinę, znajomych. Ciężko mi ich opuszczać. Będzie duży smutek. W grę wchodzi Warszawa, Białystok, Łódź i Lublin. Wszystko zależy od tego, jak pójdzie mi matura. Jak dobrze, to będzie Warszawa, a jak źle – Lublin.

Nowe znajome twarze z Sokołowa mówią, że zanim wrócę powinnam znaleźć zatrudnienie (lub męża biznesmena, choć z tym mogłoby mi być jeszcze trudniej). Dlatego zaczynam standardowo, od urzędu pracy, jak człowiek bez znajomości. Przyjmuje mnie pan Paweł.

– Chciałam dowiedzieć się, jakie mam szanse, żeby znaleźć pracę w Sokołowie.

– Dwa do dwóch i pół tysiący brutto. Takie są szanse. Na tym rynku to są bardzo dobre stawki. A w jakiej dziedzinie chciałaby pani znaleźć tę pracę?

– Nie mam konkretnych oczekiwań. Jestem po studiach humanistycznych.

– Będzie ciężko... U nas najczęściej pojawiają się prace fizyczne. Zbieracz pieczarek, pakowacz mięsa, rozbieracz-wykrawacz, magazynier. Oferty pracy wiszą na korytarzu, można poczytać. A pani pewnie chciałaby w biurze pracować?

– Może być w biurze.

Zastanawia się i po chwili dodaje ściszym głosem:

– Teraz w StalFie szukają. Sekretarka z możliwością późniejszego awansu.

– A ile się na takim stanowisku zarabia?

– Z tego, co słyszałem, a to świeża informacja z wczoraj, dwa tysiące sto brutto na początek.

– Czyli, jak pan mówi, całkiem nieźle?

– No tak.

– A ile kosztuje wynajęcie mieszkania?

– Z tysiąc trzeba liczyć. Jeszcze minus rachunki, to na życie niecały tysiąc zostaje. No, ale może pani przecież u rodziców mieszkać.

– Jest gdzie, ale wolałabym być na swoim. Dużo młodych szuka teraz pracy?

– Sporo. Teraz mamy lipiec, a w czerwcu były obrony. Przychodzą absolwenci i chcą zatrudnienia. Nie jest łatwo.

– Na jesieni będzie lepiej?

– Szczerze mówiąc, nie wiadomo. Jak pani nie zależy na tym biurze, to chyba najlepiej być kierownicą

samochodu ciężarowego, trzy, cztery tysiące na miesiąc. Praca fizyczna, ale za to całą Europę można zobaczyć.

Chociaż znamy się niecałe dziesięć minut, jak ojciec radzi, żeby miejsca na własne gniazdo szukać dalej, choćby tirem po Europie. Nie na zadupiu, nawet jeśli życie wydaje się tu dobre, a twarze szybko przestają być obce. Teraz nie wrócę, może w przyszłości.

Na żółtej tarczy herbu Sokołowa Podlaskiego siedzi sokół, a jego szpony są wczepione w zieloną gałązkę dębu. Ptak ma uniesione skrzydła, ale na podstawie ich ułożenia trudno stwierdzić, czy ląduje, czy właśnie wzbija się do lotu. Sokół jest brązowy, ale nie jest to gatunek sokoła brunatnego, *Falco berigora*, który prowadzi osiadły tryb życia na terenie Australii. W herbie Sokołowa Podlaskiego jest *Falco peregrinus*, czyli sokół wędrowny lub inaczej: pielgrzymujący. Ale dorosły *Falco peregrinus* też nie migruje. Tylko jego młode podejmują wędrówki.

Sokołów to miasto ptaków, osiadłych i tych gotowych do lotu.

*imiona bohaterów zostały zmienione

★

Sokołów Podlaski, 101 km od Warszawy, 18 835 mieszkańców. Po Sokołowie najlepiej spaceruje się latem, a o każdej porze roku – warto zajrzeć do parku przy starym szpitalu i na lukrowane księżyce w cukierni u Roli.

Katarzyna Gałek (ur. 1977, Świdwin)
Skończyła dziennikarstwo i politologię na WSNHiD
w Poznaniu. Mieszka w Krakowie. Studentka
Polskiej Szkoły Reportażu.

Katarzyna Gałek

Kolana się nie palą

Rano siedzą na blokach w rzędzie, jak żołnierze. W żartach mówi się na nie bombowce, bo potrafią przelecieć, wycelować i bum! Od świtu wrzeszczą, kraczą i się drą. Całymi stadami zrywają się z drzew i oblatują okolicę jak zwiad. Jedni je lubią i obserwują. Inni chcieliby je wywieźć albo wystrzelać. Wszyscy mówią, że to wrony. Znaczący poprawiają, że kawki i gawrony. Czasami pojawiają się kruki albo zagubione mewy.

Latają też wojskowe samoloty. Te wydają inny dźwięk. Powietrze przecina wtedy huk i świst. Za nimi zostaje biały ślad. Z dużej jednostki pozostało już niewiele. Odkąd nie ma służby zasadniczej, w tu-tejszej bazie lotnictwa pracują tylko żołnierze zawodowi i obsługa lotniska.

Kawki, gawrony i samoloty

Kiedyś kawek i gawronów w centrum miasta było w bród. Wojskowych samolotów na niebie też. Dziś loty są tylko w wybrane dni, a ptasich gniazd coraz

mniej. Nadal przed dworcem stoi on – samolot na cokole, symbol, pomnik, MIG-17. Podarunek dla miasta od wojska, ku pamięci lotników, którzy już nie żyją. Tablice upamiętniające są trzy. Na jednej z nich nazwiska ofiar katastrofy samolotu CASA. Zginęli w niej również lotnicy z tego miasta.

Przed czterdziestym piątym byli tu Niemcy. Potem Armia Czerwona wyzwoliła miasto. Niemców wysiedlono. Zaczęli przybywać Polacy z dawnych Kresów Wschodnich i z całej Polski. W pięćdziesiątym trzecim powstała jednostka wojskowa.

Atrakcyjne położenie, wolne mieszkania i rozwijające się miasto przyciągnęły nowych ludzi. Zaczęto budować bloki, ponemieckie kamienice zapełniły się lokatorami.

– To był dla Świdwina najlepszy czas – wspominają mieszkańcy – teraz żyje się inaczej.

Okolica to pola, lasy i jeziora. W pobliskich wioskach nie istnieją już PGR-y. Nad morze blisko. Niecałe pięćdziesiąt kilometrów do Kołobrzegu. W samym centrum kilka zabytków z poprzednich wieków. Kościół, zamek, brama i wieża Bismarcka.

– To jest teren, bym powiedziała, ekologiczny. Bez przemysłu, no żeby nie powiedzieć, bez przyszłości. Położenie miasta jest takie, że trudno przyciągnąć inwestora. To nie jest Kołobrzeg czy Drawsko z poligonem. Dobrze, że wojsko jest, bo to wojsko też w jakiś sposób napędza koniunkturę. Mają budżet. Mają pensję co miesiąc. No, nie jest to tak, jak było kiedyś.

Samych zakładów pracy jest niewiele. Jakies tam nadleśnictwo, jednostki oświatowe, urzędy – opisuje Mirka Lemańczyk.

Miłość i pogrzeby

Przyjechała do Świdwina z lubelskiego. Najpierw do ciotki i na praktyki szkolne z technikum sadowniczego. Potem poznała tu swojego przyszłego męża i została.

– Morze chciałam zobaczyć, bo wcześniej nie widziałam. Potem Wiesia poznałam w Lidze Obrony Kraju i po trzech miesiącach ślub wzięliśmy. Miłość wielka.

– Wtedy wszystko było jeszcze państwowe – opowiada dalej, bo lubi opowiadać.

Wtedy, to znaczy w latach siedemdziesiątych, w mieście było wszystko to, za czym ludzie teraz tęsknią – kino, żłobek, dom kultury w zamku otwarty do późna. Samochodów było mało. Miejsc pracy i mieszkań więcej. Dzieci biegały po podwórkach i bawiły się na trzepakach. Z kluczem na szyi, same szły do szkoły i na zajęcia pozalekcyjne. Nad jeziorami w lecie był tłum. W zimie, w dużym parku, jeździło się na torze saneczkowym. W tych czasach pani Mirka zaczęła pracę w Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej.

– Ja się tam cmentarzami zajmowałam. Kazali chodzić, pilnować, czy grób wykopali, czy wszystko

jest w porządku. Człowiek się przyzwyczajał do takiej pracy. Potem przyszła prywatyzacja i trzeba było sobie poradzić. To ja wzięłam te pogrzeby i firmę założyłam.

Dwadzieścia sześć lat rodzina Lemańczyków prowadzi zakład pogrzebowy. Matka, ojciec i syn. Jest jeszcze córka, Katarzyna – pracuje w aptece, ale pomaga, gdy jest taka potrzeba. Przez kilka lat firma mieściła się w ich starym domu.

– Na początku było trudno – zamyśla się Łukasz, syn. – Dwa, trzy lata się przyzwyczajałem. Nie patrzyłem na ciało, nie myłem, nie ubierałem. Teraz już mnie to tak strasznie nie rusza. Jak byłem młody, to miałem różne pomysły na siebie. Trochę rozrabiałem. Jak potrzebowałem w liceum pieniędzy na tańce, to kopałem grób albo chorągiew na pogrzebie niosłem, ale tak, żeby mnie zasłaniała, żeby nie było widać, że to ja.

Wtedy jeszcze nie mieli własnej chłodni, biura i sali pożegnań. Ciała przechowywali w chłodni miejskiej a trumny w wynajętym magazynie. Po namowach Łukasza wzięli kredyt i wybudowali nowy dom. Teraz na parterze jest zakład pogrzebowy a na piętrze mieszkają rodzice. Rocznie chowają około stu osiemdziesięciu osób. Organizują pogrzeby każdego wyznania i świeckie, z chowaniem urny z prochami.

– Kremacji niewiele jest – mówi Łukasz – dwadzieścia, trzydzieści rocznie. Potem się z nich takie kule robi i mieli. Jeszcze trochę czasu musi minąć.

Wiadomo, jak się krematoria kojarzą. Głównie wojskowi. Samego spopielenia nie widziałem, ale opowiadali mi, że kolana się nie palą, że duże kości zostają. Prochów nie można rozsypać albo w domu w urnie postawić. Stare prawo mamy. Z pięćdziesiątego dziewiątego roku jeszcze. Za granicą można już w łupinie kokosa zakopać prochy i ziarno drzewa. Łupina potem pęka i rośnie dąb albo co tam się posadzi. Tak ja bym chciał. Bardziej ekologicznie.

W domu mówi żonie, że w pracy było dobrze. Bez szczegółów.

Don Kichoci, afery i strach

Trudno znaleźć w mieście człowieka, który by nie znał rodziny Lemańczyków, ale o śmierci mało się mówi. O pogrzebach więcej, bo niewiele jest dni bez nich.

– Lemańczyk to mi brata chował. Jak umrę, to też chcę u Lemańczyka leżeć. To jest supergość. Na cmentarz wysyła chłopaków, żeby naprawiali i kopali groby. Ja tam godziny robię i byłem tam, u pani Mirki w zakładzie. Elegancko jest, jak w domu. Opiekują się, jak ktoś umrze – mówi Ogin. Tak się przedstawia, spotykam go w parku.

Mirosława Lemańczyk jest też radną w radzie miasta. O radnych mówi się raczej źle.

– Miasto, jak tylko przejedziesz, to ładne jest, ale afery to się pod dywan zamiata. Inicjatywy obywatelskie są niemile widziane, a rada miasta jest po to, żeby przyklaskiwać burmistrzowi. Ludzie się boją, ale abstrakcyjny jest ten strach, bo jakby tak wszyscy „huzia na Józia”, to może coś by się zmieniło. Jeżeli chodzi o pogrzeby, to nie mam złego zdania. Dzięki Lemańczykowej mam trzy groby w jednym. Tak było taniej. Ojciec – opowiada Wiolka Szulc – zmarł dawno temu. Jak mama dostała wylewu, to siostra się nią opiekowała, ale pięć lat temu i ona zmarła. Dla mnie naturalne było, że się jej dziećmi zajęłam. Całe życie tu mieszkam i już się nawet nie zastanawiam, jakby to mogło być gdzie indziej.

Są tacy, co się nie boją zmieniać miasta, Szulc nazywa ich Don Kichotami. Jest Stowarzyszenie Carpe Diem, które w ramach inicjatyw społecznych próbuje w mieście coś zrobić. Piszą projekty, zdobywają pieniądze, walczą o żłobek, którego brak. W urzędach ich nie lubią.

– Bo młodzi, bo z pomysłami, bo mają swoje wizje, które nie są zgodne z wizją burmistrza czy miasta – wymienia Mirka Lemańczyk.

Jest i Marek Tarka, wojskowy i radny. To on zainicjował referendum o odwołanie burmistrza. Frekwencja była zbyt mała i burmistrz został, a Marek Tarka sądzi się, po raz kolejny, z urzędnikami – najpierw o referendum, potem o donosy do wojska na jego osobę.

Są mieszkańcy, którzy walczą o swoje. O place zabaw, o mieszkanie, o życie kulturalne w mieście. Są radni, którzy się przeciwstawiają działaniom urzędów, częściej jednak rezygnują.

– Ja to sobie czasami tak myślę – wzdycha Mirka Lemańczyk – w przyszłym roku kończę kadencję i daję sobie na luz. Bo co ja w ogóle tam robię? Co innego myślę, co innego muszę mówić, i tak patrzysz na takie dogadywanie się, na takie układy, gdzieś ci wbijają nóż w plecy, uśmiechając się. Myślę: ja pierniczę. Jak w takim małym mieście tak jest, to jak musi być w województwie, a jeszcze jak w centrali? To jest po prostu sajgon. To jest coś za coś, że my ci coś damy, ty nam, że lepiej cię mieć z przodu albo nie. Ja mówię: mi już nie jest po drodze. Ja po prostu nie muszę przyklaskiwać jakiejś głupocie. Ja się na pewne rzeczy nie zgadzam, mam inne zdanie i mówię, że to nie może być tak. No to od razu jest: „tej coś nie pasuje, ta coś kombinuje, to coś jej wyciągniemy, wytkniemy”.

Wyciągnąć da się wszystko. Kupioną działkę, ustawione przetargi, sprawę prądu w kościele, podpiętego do miasta, pracę załatwioną po znajomości i wszystko to, o czym ludzie gadają. Kiedy Lemańczyk kupiła działkę też podniósł się szum, że taniej, że po znajomości, że wodę już na niej ma.

– A ja kupiłam po normalnej cenie, w przetargu – tłumaczy – i teraz ceny obok takie same są. Potem była afera z burmistrzem i jego współpracownikiem o ten prąd. Byłam jeszcze wtedy w komisji rewizyjnej

i wyciągnęłam wszystkie faktury i rzeczywiście okazało się, że miasto płaciło za ogrzewanie w kościele. Burmistrz razem ze Stefanem ten prąd podpięli, a potem się pokłócili i jeden na drugiego złożył donos. Ja to wszystko policzyłam, wyszło na to, że Świdwin stracił prawie siedemdziesiąt tysięcy, ale nie napisałam w podsumowaniu, kto jest winny. No i do mnie zaczęły się pretensje, że nie umiem wniosków wyciągać. Potem ciągną się za człowiekiem przez lata takie sprawy, bo w małym mieście tak już jest. Te stare układy powodują u młodych bunt i tworzy się opozycja, która chce zmienić ten stan, ale – zdaniem starszych – robią to źle. Władza nie lubi, jak się im mówi, co mają zrobić i jak.

Młodzi mówią, że się nie boją. Starzy, że swoje zdanie trzeba mieć, ale lepiej się nie wychylać. Młodzi, że urzędnicy zapomnieli, że są dla ludzi. Urzędnicy, że młodzi źle przedstawiają swoje racje, że powinni przyjść, porozmawiać, zintegrować się.

– Żeby coś wskórać w urzędach – mówi Wiolka Szulc – to trzeba ich nachodzić, przypominać się i grzecznym być, bo jak odpuścisz, to załatwisz nic.

Agnieszka i strajk

– Mnie to miasto doprowadziło do tego, że prowadziłam strajk pod urzędem – opowiada Agnieszka Kuzara-Jadrych – i czekałam na mieszkanie. Tego nie

było w telewizji i w Internecie. Byłam bezdomna. Nie miałam stałego meldunku, więc moje dziecko też było bezdomne. Bałam się, że to chore państwo szybko znajdzie sposób na bezdomną matkę z bezdomnym dzieckiem i nie będzie ważne, że pracuję, że mój syn się dobrze uczy, że wynajmuję mieszkanie. Nic nie będzie ważne, tylko brak meldunku.

Agnieszka mieszka w Świdwinie od urodzenia. Życie, mówi, miała trudne. Dwadzieścia lat temu jej ojciec popełnił samobójstwo. Był wojskowym. Matka założyła drugą rodzinę i wyjechała z miasta. Zmarła niedawno. Chorowała na raka. Ojca chowali Lemańczykowie. Pamiętają, choć było to dawno. Agnieszka urodziła córkę, jeszcze w liceum. Wyszła za mąż. Dzisiaj były mąż i córka mieszkają gdzie indziej. Osiemnaście lat temu urodziła syna, ze związku z innym mężczyzną. Wychowuje go sama.

– Ja przeżyłam i dom samotnej matki i różne inne dziwne rzeczy. Pokoje socjalne, cuda cudeńka. Poznańską w Świdwinie przeżyłam, na tym melinowie. Miałam plan stąd wyjechać, ale nie wyszło. No trudno. Wyprowadziłam się na krótko, z ojcem mojego syna. Tam, gdzie byłam, było mi bardzo źle. Dookoła byli obcy ludzie i to, że wyjechałam, to był mój największy błąd. Nie dlatego, że to miasto jest takie fantastyczne i kochane. Dlatego, że tutaj znasz panią Wandzię ze sklepu, bo ona tam jest dwadzieścia lat. I jakbym poszła do pani Wandzi i powiedziała, że jest mi źle, to ona by wysłuchała i nawet jakby nie

pomogła, to komuś by tam powiedziała. Ktoś by się znalazł.

Agnieszka z synem wróciła. Zaczęła starać się o mieszkanie socjalne. Za pierwszym razem się nie udało. Wniosek odrzucono. Zrobiła strajk. Miała urlop w pracy. Codziennie od szóstej trzydzieści do piętnastej trzydzieści, siadała pod urzędem miasta. Czytała książkę, ciągle od nowa, tę samą, co przez całe życie „Anię z Zielonego Wzgórza” i czekała na mieszkanie.

– Pomyślałam: pogram im trochę na nerwach. Jak jeden dzień siedziałam, to wiadomo, może na coś czekam, ale później zaczęli schodzić na fajczkę i pytać: „Czemu pani tak siedzi?”. Nawet burmistrz zszedł. Ja, oczywiście, pełna kulturka: dzień dobry, uśmiech – żeby nie było. A burmistrz pytał: „Ale czemu? Przecież pani nie musi”. Ja na to: „Zaraz, zaraz, żebym znowu usłyszała, że zapukałam nie do tych drzwi albo mnie nie było? A nuż, nikomu nie życzę, ktoś umrze, pan tam będzie na górze i pomyśli – ta baba tam czeka na dole”.

Urlop się skończył. Mieszkania Agnieszka nie dostała, ale do urzędu chodziła dalej. Z opłatkiem przed świętami, z życzeniami na Sylwestra, co dwa tygodnie, kontrolnie, popytać. I tak prawie cały rok.

– W międzyczasie, w okolicach listopada, oni już mnie mieli dość – mówi dalej. – W kwietniu dostałam mieszkanie. Teraz mam swoje miejsce na ziemi. Mam dom i nikogo się nie muszę pytać, czy gwoździa

w ścianę mogę wbić. Moja ściana, mój gwóźdź. Chcę – to będę miała całą ścianę w gwoździach. A Świdwin to jest dziura. To jest hermetyczne środowisko. Tutaj się ludzie dzielą na biednych i bogatych. Średnich jest mało. Jest grupa trzymająca władzę i to są bogaci. To jest burmistrz i klika burmistrza. Tutaj są ludzie, którzy mają bardzo duży potencjał. Tylko ludzi się gasi, ludzie się boją.

Agnieszka się nie boi, chociaż burmistrz i jego żona przestali jej mówić „dzień dobry” po tym, jak namawiała ludzi do pójścia na referendum i była w komisji liczącej głosy. Ponieważ syn dorasta a ona nie lubi nudy, to została prezesem ogródków działkowych „Kabaczek”. Teraz załatwianie spraw zaczyna od: „Dzień dobry, jestem prezesem”.

– To jest miasto, gdzie słowo prezes otwiera drzwi – żartuje. – To miasto umiera, ale i tak je kocham, mimo krzywych chodników i idiotycznej kostki brukowej przed urzędem. Kocham je za to, że jak wysiadam na dworcu, to mówię: cześć, dzień dobry, cześć. Za to je kocham, chociaż moje życie nie poukładało się tak, jakbym chciała.

Opowiada też o ojcu, który tu żył i umarł, i o matce, która też umarła. Opowiada, jak w czasie jej choroby zrozumiała, że kocha ją pomimo krzywd i żalu, jaki do niej miała.

– Ja w wieku czterdziestu lat zrozumiałam nagle te wszystkie dzieci z patologicznych rodzin, gdzie jest alkohol, narkotyki, bicie i dom dziecka, a one

wracają do swoich patologicznych matek. Bo tego nie idzie pojąć. Myślałam, że jak umrze, to umrze, wiadomo. Święta bez matki były od tylu lat. Ona nawet jak była, to jej nie było. Bardziej byłam z ojcem związana, więc jego mi brakuje, ale okazało się, że matki też. Nie mogłam sobie poradzić z tym, że nie mam nikogo, jestem sierotą. Jestem dorosłym człowiekiem i nagle zrozumiałam te wszystkie dzieci.

W mieście jest dla takich dom. Kiedyś nazywał się domem dziecka. Teraz placówką opiekuńczo-wychowawczą. Nie ma tam sierot. Są dzieci i młodzież odebrane rodzicom, które przy każdej nadarzającej się okazji do nich wracają. Jedna z pracownic ośrodka opowiada, że resocjalizacji nie ma. Że dzieci na weekend idą do rodziców w nowych butach, a wracają w starych. Że wyrosnie z nich „kolejne pokolenie patologii”.

Nie ma też w mieście przemocy i niepełnosprawnych. „Zniknęli przed wyborami”. To z kolei mówi pracownica starostwa. Nazwisk nie chcą podawać. Tylko nieoficjalnie można rozmawiać o trudnych sprawach. Oficjalnie wszyscy chętnie mówią o nowym placu zabaw, o planach na zagospodarowanie parków i ptakach latających nad miastem. Ciszej mówią o polityce, o problemach, i o tych, co umarli.

Do góry, a potem w dół

– To dlatego, że ta śmierć to jakby jakaś choroba była, jakiś trąd. Tak się ją odsuwa, jak trędowatych kiedyś. Nie ma się co bać. To jest przypisane – w zakładzie pogrzebowym Mirka Lemańczyk rozmawia głośno i swobodnie. – Ja nie chciałabym pracować w dużym zakładzie, bo to by chyba zatraciło sens. Tak każdy coś opowie, jak ten zmarły żył, więc musisz mieć i czas.

– Tu traktujemy zmarłych – opisuje – jakby w hotelu, na kwaterze albo w agroturystyce byli. Sprawdzamy, czy wszystko mają, czy wszystko jest ok. Potem się patrzy, jak odjeżdżają, tak jak się żegna kogoś, kto do ciebie przyjechał. I on po prostu sobie już jedzie i za moment przyjeżdża ktoś następny. Zerka się, co mu trzeba przygotować, w co ubrać, żeby wszystko miał. Potem się popatrzy na ten dowód. No, ktoś miły, znajomy, gdzie mieszkał. Bo te małe grajdoły tak mają, że można sobie pozwolić na pochylenie się, na poświęcenie czasu. W dużych miastach tego nie ma.

Lemańczykowie pracują całą dobę. Telefony mają zawsze przy sobie, bo w każdej chwili ktoś może potrzebować ich usług, porad i wsparcia. Podzielili się obowiązkami. Ona rozmawia, syn z mężem zajmują się organizacją pogrzebów, przygotowują ciała i wieńce. Wszystkiego nauczyli się sami. Bez kursów i szkoleń. Każde życzenie rodziny w żałobie starają się spełnić.

Czy chodzi o muzykę, czy o kremację, czy o pogrzeb inny niż katolicki. Chowali znajomych, przyjaciół i obcych, chociaż tych ostatnich jest niewiele.

– Staramy się, żeby było tak domowo – rozgląda się Lemańczykowa – kwiaty, kawa, herbata i ciepło. Ale ja bym, tak dla odmiany od tej śmierci, coś innego jeszcze otworzyła. Taki dom wesołej starości mi się marzy. Chodziliby tam sobie, tańczyli, w gry grali. Tak mam, że jak tylko muzyka leci, to już mi nóżka chodzi. Siedzimy tu sobie czasem z wnukami i słuchamy Czesia Niemena, Rysia Riedla, Marylki albo Grechuty. Kiedyś mnie najstarsza wnuczka pyta: „Babciu a jak umrzesz, to ten odtwarzacz będzie mój?”. Mówię jej: „Ty sobie weź ten odtwarzacz teraz. Ja jeszcze nie chcę umierać”.

Lemańczykowie mieszkają w Świdwinie ponad czterdzieści lat. Firma, którą prowadzą, działa całą dobę. Dzisiaj chowają matkę znajomej. Wszystko już jest przygotowane. Wiesław Lemańczyk zawiezie zmarłą do jej rodzinnego domu. Tam trumna będzie otwarta.

– A później wyniosą ją na podwórze – kończy opowieść jego żona – i podniosą ją trzy razy, w górę i w dół. W obrządku ukraińskim tak jest. To symbolizuje, że najpierw jesteś wysoko, a potem zupełnie nisko. Na koniec huknie się tą trumną do samej ziemi.

Świdwin, 120 km od Szczecina, 15 521 mieszkańców. Nazwa miasta pochodzi od niemieckiego Schivelbein lub od pomorskich słów „Skwilbin” lub „Skwielbin”, oznaczających „krążek na bagnie”. Na terenie miasta znajduje się wojskowe lotnisko i baza Lotnictwa Taktycznego.

Agata Grabowska (ur. 1978, Warszawa)
Studiowała socjologię i anglistykę na UW,
doktoryzowała się z nauk społecznych
w IFiS PAN. Studentka Polskiej Szkoły Reportażu.
Pomysłodawczyni reporterskiej serii Światła
Małego Miasta.

Agata Grabowska

Stanley tysiąca wesel

Stanisław Podpora ma w Wyśmierzycach dwa żółte domy i w każdym mieszka sam. Dziwią się ludzie, że ma dwa. I że takie żółte.

W dniu mojej pierwszej wizyty w Wyśmierzycach parkuję pod kościołem. W czwartek o piętnastej, na Koronce do miłosierdzia Bożego modli się prawie pięćdziesiąt osób. O drewnianą dzwonnice opiera się kilkanaście rowerów, większość wiernych najwyraźniej przysła piechotą. Okazja nie byle jaka. Jerycho Różańcowe, czyli dwudziestoczwierogodzinna adoracja Najświętszego Sakramentu, odbywa się w mieście po raz pierwszy. Powinna trwać siedem dni, ale Wyśmierzyce są za małe, nie ma skąd brać tylu chętnych do ciągłego czuwania. Potrwa więc dwa, ale wiernych sporo. Modlą się na kolanach i starzy, i młodzi. Tymczasem na zewnątrz mężczyzna – buty robociarskie, ale koszula biała, rozpięta na piersi, krzyżyk na łańcuszku – pali papierosa za papierosem.

– Nie adoruje pan? – pytam.

– Adoruję, ale człowiek też musi czasem oddech złapać. A pani co? Już chłopaki od Barszczów mówili, że kontrol przyjechała. Ale taka mi kontrol... – prychnął, patrząc na mnie.

Stoimy chwilę w milczeniu, w skwarze i dymie, ze środka dochodzą nas stłumione głosy modlitwy.

– Podobno pani o Staszka Podporę pyta?

– Pytam.

– Porządny chłop, ale nie wyśmierzak. Nie stąd.

Pani wie?

– Wiem.

– A ja stąd.

Wy nie wyśmierzaki

Szybko się przekonam, że to bardzo ważne, kto jest stąd, a fraza „wy nie wyśmierzaki” często ucina dyskusje w mieście. O tym, kto lepszy, kto gorszy, kto może o czymś decydować w Wyśmierzycach, o tym, kto przynależy i komu się należy. I staż mieszkańca niewiele tu pomaga. Staszek Podpora mieszka w Wyśmierzycach prawie dwadzieścia pięć lat, ponad pół życia, ale to nadal „nie wyśmierzak”. Basia już dwadzieścia siedem i wciąż obca. Początkowo nie chce rozmawiać, bo przecież jest „niemiejskowa”. W końcu jednak opowiada, że było ich trzy. Trzy dziewczyny, które się wydały za wyśmierzaków na początku lat dziewięćdziesiątych. Trzy się rozwiodły, dwie wyjechały i tylko Basia została, bo wyszła ponownie za mąż, znów za wyśmierzaka.

– Jestem otoczona jadem z każdej strony. Ale teraz z mężem jadę na morze, po jod. – śmieje się. – Na

odtrutkę, pani rozumie. Bo do tego nie sposób się przyzwyczaić. Tak samo tu mają wszystkie nie wyśmierzaki, pani zapyta Staszka Podporę, on też jest obcy dla nich.

Pytam. Staszek Podpora milczy. Uśmiecha się.

– Mogę o tym nie mówić?

Ale o miasteczku opowiada.

Wyśmierzyce to najmniejsze polskie miasto, mniej niż tysiąc mieszkańców – dokładna liczba nie do ustalenia z całkowitą pewnością, bo urzędniczka dziwi się, że proszę o takie informacje od ręki. Nie dowiem się więc, ile jest domów, ile dzieci się rodzi, na co miasto wydaje najwięcej, dlaczego cyrk nie mógł postawić namiotu, bo był strach, co z dziurami po namiocie potem zrobić. Mogę ewentualnie napisać pismo. Nie piszę, pytam ludzi o ich miasto.

Przy wspólnym stole

Jeśli Wyśmierzyce są z czegoś dumne, to z tego, że są miastem od czternastego wieku. I chociaż w Polsce nie brakuje wsi o wiele większych niż to miasteczko, to z lubością powtarza się tu zdania: „na drugim końcu miasta” i „poza miastem”. I „wsioki” o dzieciach dowożonych gimбусem do szkoły.

W 2013 roku Wyśmierzyce szykowały się do obchodów sześciuset siedemdziesięciu pięciu lat praw miejskich. Taka rocznica wymagała szczególnej

oprawy. Wymyślono, żeby wszyscy mieszkańcy miasta usiedli z tej okazji przy jednym wspólnym stole, miasteczko jest w końcu na tyle małe, że można by było na środku, na ulicy Mickiewicza, postawić stół, przy którym zasiedliby wszyscy. I ci z gospodarzy, Dąbrowscy, Konopki, Kaweccy. I ci napływowi. Więc i Staszek Podpora, choć nie wyśmierzak, mógłby usiąść.

I prawie się udało. Prawie, ale jednak nie, bo jak się zaczęły dyskusje, deliberacje, a kto, a jak, a z kim, i czy to w ogóle ma sens, i czy na pewno wszystkich prosić. Bo jak niby ustalić, kto koło kogo miałby siedzieć, i kto w najznakomitszym miejscu. Można alfabetycznie, ale jak to, alfabet przecież znakomości poszczególnych rodzin by nie oddał. I tak to się wspólny stół nie udał.

Nie udał się teraz, bo kiedyś i owszem, w 1988 roku. Wszyscy mieszkańcy usiedli przy wspólnym stole, zdjęcia pokazują prawdziwą biesiadę na Placu Wolności. A potem, kiedy przyszła ta ostatnia, już nie szło się dogadać.

Udały się za to w Wyśmierzycach dwie inne rzeczy, z inicjatywy dwóch różnych komitetów. Pomnik i obelisk. Przed kościołem stanął gipsowy posąg błogosławionego księdza profesora Franciszka Rosłańca, oczywiście rodowitego wyśmierzaka. Odslonięto go z należytą pompą. Był nawet odczyt pod tytułem: „Wyśmierzyce – najdrobniejszy klejnot w plejadzie miast i miasteczek Polski”. Sam pomnik jest niby

okazały, ale jednak z gipsu. I jakiś nieforemny: postura chłopca i wielka, okrągła, pyzata głowa. Ale przynajmniej stoi w doskonałym miejscu, pod kościołem, a nie gdzieś przy ulicy. Tam tkwi obelisk, wielki głaz, na którym przybito daty rocznicy nadania praw miejskich Wyśmierzycom. Ale jakoś się cyfry nie utrzymały, ktoś zdrapał i nie ma. A i Rosłańcowi jakiś złośliwiec podobno próbował nos utrać. Ten perkaty.

Pytam Staszka Podporę o pomnik i o obelisk, do żadnej frakcji nie jest mu blisko. Byłoby mu po drodze ze wspólnym stołem, ale do idei nigdy nie powrócono. W monumentalnej, trzyczęściowej kronice miasta „Wyśmierzyce, historia i terażniejszość”, Tadeusz Rostkowski pisze: „Społeczność Wyśmierzyc jest tak podzielona, iż samo wysunięcie takiej propozycji byłoby uznane teraz za prowokację, bądź wzbudziło śmiech” i dodaje na pociechę, swoją lub czytelnika, że „podział, o jakim piszę nie jest niczym dziwnym na tle współczesnej Polski. Tak samo jak w Wyśmierzycach podzielone jest całe polskie społeczeństwo”.

Jak widać, małe Wyśmierzyce nie są za małe, żeby nie dobić do średniej krajowego podzielenia.

Staszek ma szacunek społeczny, Stanley zarabia na nogawice

Ludzie w Wyśmierzycach, i ci od obelisku, i ci od pomnika, chętnie opowiadają o Staszku Podporze

i jego dwóch domach. I tak słyszę, że Staszek to są tutaj wyższe rejony średnie, choć przyjezdny (sąsiad, przedsiębiorca), że jest oczywiście nie stąd, ale klasa człowiek, po przejściach (to sklepowa), że cichy, pogodny, ale muzykuje (nauczycielka), że Staszek Podpora to jest ekspresja pod cichą fasadą (urzędniczka).

I jeszcze jeden taki, pod sklepem, ściszym głosem dopowiada: ich jest dwóch, jeden bardziej nasz, ale drugi to już insza inszość.

Staszek Podpora urodził się w okolicach Dębicy, ale jak mówi, do Wyśmierzyc przyszedł za żoną. Poznali się na studiach. Studiował fizykę, bo wydział był blisko dworca. Poszedł z maturą zapytać, czy przyjmą – wzięli. Od ponad dwudziestu lat jest nauczycielem informatyki w technikum w Białobrzegach. Bazy, kodowanie, programy. Siedzi w swojej pracowni, nie musi latać między klasami i na młodzież nie narzeka. Garną się do tej wiedzy. Co innego dawniej, gdy zaczynał, kiedy mu serce puchło ze zdenerwowania, taka zła ta młodzież była. Ale po latach już jest inaczej, bo doświadczenie swoje robi. Tyle lat nauczania Staszekowi służy.

– Jak człowiek młodzież uczy, ma taki zawód porządny, to jest szacunek społeczny do mojej osoby.

I w Wyśmierzycach ludzie to wiedzą, więc złego słowa nie słyszy. Staszek uśmiecha się nieśmiało, łagodnie, mówi powoli, spokojnie. Do pracy zawsze ogolony, perfumami się skropi z rana. Zawsze skromnie ubrany, koszula, spodnie w kant, wszystko

wyprasowane. Uczniowie mówią o nim: „surowy, ale sprawiedliwy, małowówny. Każdemu do głowy coś włoży, choćby ten się bronił”.

To wszystko Staszek.

Ale jest jeszcze ten drugi, insza inszość, Stanley.

Staszek to nauczyciel, Stanley – saksofonista. Nie zawsze było ich dwóch. Choć muzyka w Staszku mieszkała od czasów średniej szkoły muzycznej. Stoimy przy furtce domu przy Królowej Jadwigi, jednego z dwóch żółtych domów Staszka. O ławkę oparty jest rower, składak. Stary, wysłużony. Nie pasuje do masywnego płotu, do kostki Bauma, do kominka na wysoki połysk. Ale stoi ku pamięci, bo z tego roweru właśnie narodził się Stanley.

– W dziewięćdziesiątym pierwszym wziąłem pierwszą pensję w szkole, i to było milion sześćset na stare. Chciałem rower kupić. A rower stał dwa miliony sto. Dwa miliony! Popłakałem się, że mi brakło na rower. Mówię wtedy do żony, że jak to może być, że człowieka nie było stać na rower z pensji nauczycielskiej. Już wiedziałem, że pójdę w trasę. Najpierw marnie było, jeździło się pod Robczyce, pod Jasło na wesela. Potem siedzimy i liczymy. Sześć albo może osiem dolarów za dwa dni. To było akurat na jedną nogawicę wranglerów. Ale się uparłem, lata gram, i teraz pani patrzy. Domek z grania buduję. Bo to już będzie z tysiąc wesel. Ale ten stary rower to ja szanuję, i będzie tu zawsze stał, dla wnuków, jako nauka.

Stanley zaczął grać jako dzieciak, miał trzynaście lat. Poszedł za starszymi chłopakami, to były dryblasy, a on, mały, drobny, też za nimi „w te pioseneczki”. Wyuczył się na saksofonistę i tak go już zawsze ciągnęło do grania. Zespołów było kilka, jeszcze „za kawalerki”, w Kielcach. Rytm, Standard, The Lux, Expert, Akord. Różne to były ekipy, ze Stromca, z Potworowa. Aż w końcu Stanley trafił na muzyka i wokalistę Andrzeja Miazgę, z Romanowa, blisko, bo trzy kilometry z Wyśmierzyc. To było akurat, jak Polska wchodziła do Unii Europejskiej.

– Ja mówię: Andrzej, trzeba po unijnemu zespół nazwać, będziemy jeździć po Europie, bo granic teraz nie ma. I zaraz nazwa była: „The Best”.

Z angielska jest też imię Stanley, tak fantazyjnie. Bo lider „The Best” ma i fantazję, i umiejętności organizacyjne. I w Ameryce był. Za pieniądze stamtąd kupił najlepszy sprzęt. I koszule dla całego zespołu sprawił, z naszywką z nazwą, eleganckie. A sam występuje w kamizelce w kolorze głębokiej wiśni, wypchniony, uczesany. Z werwą. Multiinstrumentalista: i klarnet, i saksofon, i klawisze, i akordeon. A przede wszystkim dobry duch zespołu, nadaje ton. Jest nie do zdarcia, żywiołowy. Inni tylko: „Stanley, a to załatw...”, „Stanley, jak ty uważasz...”. Wszyscy wiedzą, że trudniejsze tematy Stanley załatwia. Jak trzeba było zwolnić wokalistkę, której wcale nie było słyhać, to Stanley musiał. Teraz grają w stałym sprawdzonym składzie, we czwórkę, na festynach, na odpustach,

na studniówkach, na weselach, „pod nogę”, do tańca. Każdy Sylwester jest grany, nigdy Stanleya w domu nie ma, bo wciąż w drodze, od Dębicy po Białystok. Więcej gra, niż nie gra. A jak gra, jak jest w trasie, to może pełną piersią odetchnąć.

– Ja po prostu żyję światem – mówi, gdy go pytam, jak mu się mieszka w Wyśmierzycach.

A żyją niby osobno. Staszek rytmem szkolnym, Stanley weekendowym. Ale jeden drugiego nigdy nie zawiedzie. Jak jest dwudniowe wesele to się gra bez wytchnienia, ale na ósmą w poniedziałek już się jest w szkole. Dyrektorka w drzwiach stoi, żeby chuchnąć, ale Stanley na robocie nie pije, więc rano Staszek zawsze w szkole trzeźwy. Czasem się zdarza, że Stanley gra na weselu ucznia czy uczennicy ze szkoły Staszka. Bywa niezręcznie – młoda czy młody całą zabawę wzrok odwraca, choćby już nawet ojciec z poczęstunkiem przyszedł. A najbardziej, jeśli w szkole z nauką źle szło. Ale Staszek nauczyciel to rozumie, nie pcha się. I Stanleyem też raczej nikogo w Wyśmierzycach nie epatuje. Na zdjęciach, na Facebooku zawsze w drugim szeregu.

Do reprezentacji wystawia Sławka, kolegę z zespołu. Choć czasem jednak stara się tą muzyką wyśmierzaków zarażać, ale elegancko, dyskretnie. Czasem proszą: zagraj tu, zagraj tam, to gra. Lekcji też udziela, ale za darmo, dla przyjemności. Bo w muzyce Stanley jest naprawdę u siebie. I to z grania zaczął drugi żółty dom budować, własny, okazały.

Dwa żółte domy

Ludzi w Wyśmierzycach trochę kole w oczy, że dwa. I że żółte.

– U nas takiego żółtego w mieście nigdy nie było. Pani patrzy, jest powiedzmy musztarda na starych drewnianych domach, tu obok czy tam przy rynku, brąz leciutki jest, a taki żółty to jest tu w Wyśmierzycach jednak obcy kolor. No, jeszcze, żeby jeden dom, ale dwa? – słyszę w sklepie od kobiety z wnuczkiem. I dwóch klientów w kolejce jej przytakuje. Taki żółty to jednak nietutejszy.

Pierwszy żółty dom Staszka jest przy Mickiewicza, zaraz od ulicy. Tam, gdzie wszystkie stare, drewniane domy gospodarzy, czyli tych co, jak się tu mówi, przyszli z majątków. Staszek się w Wyśmierzyce wzenił, w dobrą rodzinę, wszyscy wiedzą, że porządny z niego chłop, chociaż nie wyśmierzak. Dom Staszka ma piętro, płot jak się patrzy, ale jest skromny, tylko tynk taki żółty, że bije w oczy. Z ulicy niczego nie widać, na ścianie szyld: naprawa komputerów, serwis. Mieszkali tam kiedyś teściowe Staszka, żona, ale jak wszyscy umarli, to już tylko on. Z tego domu codziennie raniutko przez lata wychodził do pracy: kanapka, teczka, parasol, ukłonić się sąsiadowi.

Drugi żółty dom jest na wylocie na Białostrzegi, w wyśmierzyckiej „Magdalence” czy jak mówią: „na osiedlu”, gdzie mieszka „lepszy materiał ludzki”. Dom

jest duży, rozłożysty, z szerokim wejściem, z podjazdem z kostki, z płotem z murowanymi słupami w kolorze elewacji budynku. Z tyłu biesiadne ławy, kawał działki aż pod las, w środku okazały kominek, ale pusto. Miał tu zamieszkać z żoną i córką, ale żona zmarła, córka wyjechała, i został sam. Z pierwszego domu Staszka do drugiego jest 648 metrów. Całe jego życie rozciąga się między dwoma żółtymi domami w Wyśmierzycach. W jednym mieszka Staszek Podpora, nauczyciel w średnim wieku, szanowany, choć nie wyśmierzak.

W drugim Stanley tysiąca wesel, który się na Wyśmierzyce nie musi oglądać.

Stąd rusza w trasę, a z nim siedem zapakowanych kolumn i saksofon.

★

Wyśmierzyce, 89 km od Warszawy, 912 mieszkańców. Najmniejsze polskie miasto, z jednego końca na drugie jest tylko nieco ponad 1,5km. Wyśmierzyce są położone nad Pilicą, mają pięknie zachowaną XIX wieczną architekturę drewnianą.

Oktawia Kromer (ur. 1991, Gdańsk)

Absolwentka architektury (PG) i dokumentalistyki (UW). Mieszka w Warszawie. Studentka Polskiej Szkoły Reportażu, tłumaczka i korektorka tekstów technicznych.

Oktawia Kromer

TV Czarne w Urugwaju

– Kanada, Stany Zjednoczone, Urugwaj... Nie ma chyba państwa, z którego by ktoś nie wszedł na YouTube'a zobaczyć, co się w Czarnem dzieje – Ireneusz Czerniawski, twórca lokalnej telewizji, uśmiecha się znad filiżanki gęstej kawy.

Mieszkaniec Urugwaju może więc na przykład, nie ruszając się z domu, towarzyszyć czarneńskiej młodzieży w uroczystości bierzmowania, może podziwiać występy lokalnych zespołów pieśni i tańca, ale i wysłuchać opowieści pana Henryka, który dopiero co, w obronie własnej, przy pomocy ogrodowej haczki, zabił bobra i – wstrząśnięty – sam zgłosił się na policję.

Może kibicować swoim rówieśnikom z Rady Seniorów w walce o budowę szaletu miejskiego, którego brak szczególnie dotkliwie odczuwa się po zażyciu moczopędnych leków – nie zawsze przecież jest czynna restauracja „Klubowa”, a i krzewy na cyplu rzeki więcej nie poratują, bo burmistrz nakazał je wyciąć.

Może też nasz mieszkaniec Urugwaju obejrzeć pełną transmisję dowolnej sesji czarneńskiej Rady Miasta z ostatnich pięciu lat. Na przykład sesję czterdziestą, pięcioipółgodzinną, z początku marca.

– Moje pierwsze zapytanie dotyczy żłobka – zaczyna Tadeusz Żyła, wiceprzewodniczący Rady – Tego się pan spodziewał, panie burmistrzu, prawda?

Tego mógł się też spodziewać i widz z Urugwaju, o ile dość bacznie śledził wiadomości z Polski. W TV Czarne, ale nie tylko – czarneńskim żłobkiem zainteresowały się też media ogólnokrajowe.

Tadeuszowi Żyle jest za burmistrza wstyd. – Odślawiania pan tablicę ze swoim nazwiskiem i nazwiskiem pana Macierewicza, bije pan sobie brawo. Pański poprzednik, pan Zieniuk, również otwierał szkoły, świetlice, ale nigdzie nie ma tabliczki z jego nazwiskiem. Z normalnego otwarcia żłobka zrobił pan przedstawienie, po którym staliśmy się przedmiotem żartów i pośmiewiska na całą Polskę.

– Ależ panie Tadeuszu – mógłby pomyśleć widz z Urugwaju, który już trochę się w temacie zorientował – niech pan nie zapomina, że ten żłobek to jednak jest nie byle jaki. Żłobek przyszłości, Panie Tadeuszu, z ledowym oświetleniem, czujnikami dymu, systemem kamer, pozwalających czarneńskim rodzicom czuć nad bezpieczeństwem dzieci.

W TVN24 i Polsacie burmistrz, Piotr Zabrocki, mówił za Horacym – to pomnik trwalszy niż ze spiżu.

Na uroczystość otwarcia zaproszono ważnych gości. Trzech posłów i dygnitarze z wojewodą pomorskim na czele równocześnie przecięli wstęgę, każde własnymi nożyczkami. Biskup, w asyście sześciu duchownych, poświęcił żłobek i samochód należący do placówki. Minister nie przyjechał, ale dzięki tablicy, którą bez konsultacji z radnymi, z porywu serca, powiesił burmistrz – duchem będzie tu stale.

W TV Czarne burmistrz ma możliwość wypowiedzieć się szerzej.

Zaczyna z rozmachem, sięgając roku 1395, kiedy to miastu Czarne prawa miejskie nadał Konrad von Jungingen, brat Ulricha. Mówi o strażnicy, w której podejmowano decyzje istotne dla całego Zakonu Krzyżackiego i Polski. O czasach Zygmunta III Wazy, za którego, w starciu z miejscowym chłopstwem, zginęło 33 żołnierzy zaciężnych, łupiących to chłopstwo z uwagi na brak żołądu. I wreszcie – o bitwie ze Szwedami pod Czarnem, których to Szwedów zatrzymał tutaj hetman Konięcpolski.

Burmistrz lubi powtarzać, że Czarne, leżące u zbiegu granic województw – pomorskiego, zachodniopomorskiego i wielkopolskiego – nie jest końcem, a początkiem swojego województwa. Warto, by nasz Urugwajczyk to zapamiętał.

– Nie mówcie mi państwo, że Czarne nie jest początkiem województwa pomorskiego, bo gdyby nie my, Szwedzi by jeszcze dalej poszli – grzmi burmistrz na tle kolorowych balonów, tęczy i chmur.

I opowiada dalej – o pierwszym hitlerowskim obozie koncentracyjnym dla przeciwników politycznych, jeszcze z 1933 roku. O obozie jenieckim, Stalag II B, w którym w czasie drugiej wojny przetrzymywano Polaków, ale i Francuzów, Belgów, Holendrów, Anglików, Amerykanów, Włochów, Serbów i Szwedów.

Wreszcie – współczesność Czarnego. Zakład Kariny, a w nim najlepsi turyści – żartuje burmistrz – jak raz przyjadą, zostaną na dwadzieścia lat, albo i do końca życia. Jednostka wojskowa z halą remontową transporterów opancerzonych. Nowa fabryka mebli Negro. Szkoła imienia Danuty Siedzikówny – „Inki”.

A teraz i nowy żłobek. Nie powstałby bez nieoceanionej pomocy ministra Antoniego Macierewicza i Agencji Mienia Wojskowego, która podarowała gminie swój dawny budynek, wart 300 tysięcy złotych.

Mateusz Mroz, prezes Agencji, przyjmuje przed kamerą TV Czarne podziękowania burmistrza i prezentuje portret zamyślnego bruneta w mundurze. To Francuz, jeniec, nieznany z nazwiska. Jego wizerunek wykonano w obozie Stalag II B w 1942 roku. Panu Mrozowi jeniec wpadł w ręce przypadkiem, rok temu, na francuskiej ziemi. – Może to, że ja go kupiłem, to był jakiś znak z góry? – zastanawia się teraz na wizji – Może dzięki temu znakowi właśnie mógł powstać żłobek w Czarnem?

Zaraz, zaraz. Czyżby nasz mieszkaniec Urugwaju już przełączył program, nie przesłuchał nawet do końca wypowiedzi Mroza? Zainteresowała go może historia miasta, ogląda teraz spotkanie biblioteczne z autorami albumu „Czarne w starej fotografii”. Podpatruje, jak wyglądało miasto w czasie, gdy już można tu było dojechać koleją, ale jeszcze nie wybuchła druga wojna.

Gdyby po obejrzeniu programu widz z Urugwaju postanowił przyjechać na miejsce i spotkać autorów tej publikacji osobiście, powinien udać się do studia TV Czarne. To właśnie Ireneusz Czerniawski i jego przyjaciel Benedykt Lipski latami zbierali czarno-białe pocztówki, by wreszcie w 2013 roku część z nich wydać drukiem.

*

Studio TV Czarne mieści się w parterowym budynku nieopodal rynku. Trzeszczą fotele z czarnego skaju, na stoliku między Czerniawskim a gościem – nie przybyszem z Urugwaju jednak, a początkującą reporterką z Warszawy – egzotyczna, czerwona roślinina i grube tomy klaserów z pocztówkami z miasta, które wtedy nazywało się jeszcze i wyglądało zupełnie inaczej.

Hammerstein – kamienna kuźnia lub kamienny młot. Herb podobny, tyle że pod czarnym młotem, złotą gwiazdą i półksiężycem, zamiast łba roześlonej ryby – trzy pagórki.

Największe zmiany widać na rynku. W miejscu centralnej wysepki iglaków tonącej w morzu polbruku kościół ewangelicki. Zamiast Polomarketu, zamkającego północną pierzeję – ewangelicka parafia. W miejscu jaskrawo tynkowanych, czteropiętrowych bloków i niższych żelbetowych konstrukcji okalających rynek – rządki starych kamienic.

Przeglądam klaser. Gospodarz wyjaśnia: – Tu została tylko ta apteka i budynek z wieżyczką. To ulica Mokra na cyplu, w ogóle nie ma po niej śladu. Tu młyn nad Czernicą, a tu plan obozu. I Czarne tuż po wojnie, lata pięćdziesiąte.

Jak co dzień po południu wpada w odwiedziny Lipski. Niesie ciasto i kilka zdjęć, których datacji nie jest pewien. Spierają się o to chwilę.

Lipski opowiada o parafii katolickiej, której dzieje właśnie skończył spisywać. O niemieckim proboszczu, który w czasie okupacji wygłaszał kazania po polsku, o jego tragicznej śmierci, o powojennych protestach Polaków przeciwko wywózce jego niemieckiego wikarego. O tym, że katolikiem był w Czarnem przed wojną zaledwie co dziesiąty mieszkaniec. I że Niemcy, którzy nie uciekli, mieli szansę uratować domy, jeśli udało im się przekupić Rosjan wódką.

Ale i o Strzeleckim Bractwie Kurkowym w Czarnem, założonym jeszcze w XVIII wieku, a w 2005 roku reaktywowanym między innymi właśnie przez niego i Czerniawskiego. O corocznym strzelaniu do tarczy o Buławę hetmana Koniecpolskiego i tytuł Króla

Kurkowego (Czerniawski króluje już po raz trzeci). O Ochotniczej Straży Pożarnej, w której także obaj działają. O poprzednim burmistrzu, z którego pomocą udało się wydać album „Czarne w starej fotografii” i o braku nadziei, że uda się wydać kolejną jego część, choć wszystko jest już gotowe do druku.

Nagle Lipski przeprasza na chwilę i biegnie do siebie – mieszka w bloku naprzeciwko. Musi poszukać czarneńskiej monety, wybitej z okazji 615-lecia nadania praw miejskich, chce mi ją pokazać.

Zza ściany dobiega głos żony Ireneusza, Beaty Czerniawskiej, informujący klientów o wysokościach, które należy uiścić w jej punkcie opłat – za prąd, za gaz, za czynsz. Ten sam głos czyta po godzinach teksty, które pojawiają się później w programie czarneńskiej telewizji.

Studio TV Czarne jest jednocześnie jedynym w mieście zakładem fotograficznym. Czerniawski dwadzieścia trzy lata temu przejął go po rodzicach, fotografujących mieszkańców Czarnego od lat sześćdziesiątych. Rok później, z kolegą, założył TV Czarne.

– Na początku nie mieliśmy sprzętu do montowania. – opowiada. – Nie można było popełnić żadnego błędu, wszystko było emitowane. I gdzie byśmy nie poszli, nie było z kim rozmawiać. Ciągłe tylko: „Nie, ja się nie nadaję”, „Mogę to powiedzieć, ale nie do kamery”...

Z czasem, mówi Czerniawski, ludzie się z telewizją oswoili. – To się już stało w Czarnem normalnością.

Przez dwadzieścia dwa lata mojego kręcenia się po mieście z kamerą chyba żaden z mieszkańców nie został pominięty.

Od 1995 roku do dziś TV Czarne można oglądać w lokalnej telewizji kablowej. W każdy czwartek (premiera) i w każdą niedzielę (powtórka), kwadrans po siedemnastej. Czas trwania programu zależy od tego, co się wydarzyło. Kiedy się skończy, leci od nowa, zapętłony, do końca dnia.

Z lokalnych telewizji w sąsiednich, kilkukrotnie większych miastach – Człuchowie, Chojnicach i Szczecinku, przetrwała tylko ta ostatnia. Kolega, z którym Czerniawski zakładał TV Czarne, i drugi, który dołączył do nich później, po kilku latach zrezygnowali. Dotacje pozwalały tylko na zakup kaset VHS i pokrycie kosztów produkcji, na wpływy z reklam w sześciotysięcznym Czarnem nie ma co liczyć.

Przez lata zmieniły się technologie, ale do czarnej telewizji jej twórca wciąż musi dopłacać. Mimo to nie odpuszcza.

– Po co to robię? A po co się żyje? To jest coś, co później pozostanie. Może ktoś to przejmie, nie zniszczy?

– Był taki moment, że nadawaliśmy materiały archiwalne – opowiada żona – Zatrzęsienie telefonów, maili, każdy chciał powtórki. Tak samo pierwsza czółowka, nagranie z helikoptera. Trzęsące się jeszcze, niezbyt udane, ale ludzie to sobie zgrywali. Pierwszy raz widzieli z lotu ptaka, jak wygląda Czarne.

Zdarza się, że ktoś dzwoni powiedzieć: „Puściliście moją mamę, której już dziesięć lat nie widziałem na oczy”. Albo jak mieliśmy awarię sieci kablowej i nie można było puścić programu, przychodzili i pytali: „Co się dzieje, dlaczego?”, „Może trzeba zebrać podpisy?”.

– Mamy w archiwum ponad tysiąc kaset – mówi Czerniawski. – Niszczą, trzeba je zdigitalizować, ale brakuje na to pieniędzy. A nie wiadomo, co będzie z naszą telewizją w przyszłym roku.

– Co to znaczy? – pytam.

Gospodarz milknie, nie chce mówić nic więcej.

Wraca Lipski, z dziesięcioma miedziakami czarnańskimi.

– To jest projekt naszego autorstwa. – uśmiecha się Czerniawski. – Tu, w zakładzie siedzieliśmy i myśleliśmy, jak to zrobić.

– Wszystko jest, proszę. I herb, i hetman, i napis: 1395-2010.

Przyglądam się monecie, sięgam po album. We wstępie czytam: „Wartością tych obrazów jest nie to, co pokazują, ale to, czego już nie ma, wyzwalając w naszej świadomości uczucie przemijania”.

Przypominam sobie, czego jeszcze nie ma w Czarnem, a czego zabrakło całkiem niedawno. Drzew nie ma – tych nad Czernicą, na cyplu. Kilkudziesięciu potężnych topól kanadyjskich i olch, w miejscu których powstała trawiasta pustynia.

O tym też mówił Tadeusz Żyła w swojej interpelacji. Podobnie jak w kwestii żłobkowej tablicy, decyzję w tej sprawie podjął burmistrz sam, bez konsultacji z radnymi. Czy rzeczywiście drzewa wycięto dlatego, że w czasie wichury mogłyby stwarzać zagrożenie dla dzieci bawiących się na pobliskim placu zabaw? A co z dziećmi bawiącymi się tam, kiedy świeci słońce?

Przywołany wprost w studiu TV Czarne temat burmistrza wywołuje chwilę niezręcznego milczenia.

Na nagraniu z miejsca wycinki mieszkańcy Czarnego, uchwyceni przez Czerniawskiego na tle stosu drewnianych bali, mówią: „Wycina się płuca naszej miejscowości”, a nawet: „Facet, który podjął taką decyzję, kwalifikuje się tylko pod sąd”.

– Staramy się tu w programie lokalnym nie robić tematów kontrowersyjnych, gdzie można by ludzi skłócić – zaczyna ostrożnie Czerniawski. – Ale telewizja jest od tego, żeby pokazywać rzeczywistość. Dokumentujemy to, co się dzieje.

W materiale TV Czarne szeroko wypowiada się i sam burmistrz. Jak mówi, topole wycięto:

- bo zagrażają linii energetycznej biegnącej wzdłuż pobliskiej drogi,
- bo mogłyby przeszkadzać spływającym Czernicą kajakarzom,
- bo rosły na „terenach przeznaczonych pod taką zwana rekreację”.

– W żadnym wypadku nie jest to wycinane pod przyszłego inwestora – zaznacza burmistrz i zaraz

wyjaśnia, o jakiego inwestora chodzi – tego, który chce zainstalować tu tak zwaną małą elektrownię wodną.

– Warto zwrócić uwagę, że od teraz nie będzie już możliwości schowania się i spożywania alkoholu. Drzewa zostaną uzupełnione rodzimymi gatunkami, będą tutaj nowe nasadzenia, ławeczki. I na pewno żaden konar nie spadnie na głowę dziecku.

Na koniec burmistrz dodaje, że problem dotyczy także drogi wojewódzkiej, i radzi telewidzom, by zwrócili uwagę, ile jeszcze tych topól w Czarnem jest i wymaga wycięcia.

Studio TV Czarne przez chwilę pogrążone jest w zadumie. Przerywa ją sygnał straży pożarnej, mknącej ulicą Kościuszki. Czerniawski podrywa głowę. Pytałam niedawno, jak szuka się pomysłów na materiał do TV Czarne. – Więc proszę, choćby tak właśnie – mówi Czerniawski i sięga po telefon.

★

– Cysterna wpadła do rowu między Rzeczenicą a Czarnem – mówi po chwili. – To coś poważnego, chyba dla TVN-u będzie.

Dalej wyjaśnia już w samochodzie:

– Dla TVN24 pracuję od 2003 roku. Obsługuję teren od Gdańska do Szczecina, a jak trzeba, to i do Niemiec pojadę. Samolot CASA jak spadł, to byłem zaraz

po zdarzeniu. Byłem w Berlinie, jak tam była katastrofa, rozbił się autokar z wycieczką leśników.

Dojeżdżamy na miejsce wypadku. Okazuje się, że to nie cysterna, a tir, i na szczęście – choć wpadł do rowu i mocno uszkodził przyczepę, nikomu nic się nie stało. – Załóżcie kaski, będę filmował – woła Czerniawski do strażników z Ochotniczej Straży Pożarnej, i nagrywa – ale dla TV Czarne, bo dla TVN24 sprawa jest zbyt błaha.

*

Po powrocie do studia twórca TV Czarne pokazuje mi swoje nagranie z lipca, dla TVN24, sprzed sądu w Szczecinku. Z Czarnego jeździło się na protesty do Szczecinka właśnie, albo do Człuchowa. – O dziewiętnastej, godzinę przed zbiórką protestujących, zebrała się grupa ich przeciwników – opowiada. – Ustawili się przy zniczach, które ludzie przez cały dzień przynosili, tak żeby je sobą zasłonić, i kto się tam pojawił z kamerą, z aparatem – przeganiali. Mówili, że sobie nie życzą filmowania, bo to ich prywatne spotkanie. Wezwali policję, zostałem spisany.

Czasem, przy różnych okazjach, zdarzało się, że ktoś wytrącił Czerniawskiemu kamerę, pokrzyczał. To przy większych tematach w Polsce. W Czarnem nigdy.

– Oczywiście, mamy swoje poglądy polityczne, ale nie epatujemy tym – mówi Czerniawska – Naszym

założeniem od początku było, żeby ludzi nie dzielić. Nie możemy tego przedstawiać na zasadzie Telewizji Polskiej. Pokazywaliśmy wszystkich jednakowo, ludzie widzieli, że jako radny pan Piotr Zabrocki często zabiera głos na sesjach, składa wiele interpelacji. Wiele zyskał na naszej telewizji, miał okazję.

★

Ksiądz proboszcz, który do Czarnego przyjechał dopiero kilka lat temu (miał już za sobą udział w misjach w Afganistanie i Iraku) i jego wikary, również niedawno przybyły z Wrocławia, kibicują Czerniawskiemu i wierzą, że TV Czarne przetrwa polityczne zawirowania. – To forma dotarcia do szerszego grona mieszkańców, także niewierzących – mówi proboszcz, ksiądz porucznik Włodzimierz Skoczeń. – Pan Irek to prawdziwy pasjonat.

Czarneńska parafia gości na ekranie TV Czarne z okazji wszystkich istotniejszych świąt, a jej ogłoszenia parafialne zamieszczane są na facebookowym profilu telewizji.

Księża nie ukrywają, że nadawane w TV Czarne spoty przyczyniły się do dwukrotnego zwycięstwa projektów zgłaszanych przez parafię do głosowania w ramach budżetu obywatelskiego. Między innymi dzięki TV Czarne właśnie wybrukowano błotnistą drogę dojazdową do kościoła i przylegający do niej parking.

– Zgodnie z sumieniem, panie Irku, zagłosowałam – uśmiecha się zagadnięta w powyborczej sondzie TV Czarne starsza pani we wrzosowym berecie. Inny mieszkaniec Czarnego, z siwym wąsem i w kra-
ciastej koszuli, cieszy się, że będzie miał gdzie par-
kować, gdy przyjedzie na sąsiadujący z kościołem rynek.

Rzecz jasna nie wszyscy odpytywani przez Czerniawskiego pod lokalem wyborczym mieszkańcy miasta popierają projekt proboszcza. Część osób ma nadzieję na zwycięstwo projektu miejskiego szaletu, siłowni nad rzeką, boiska albo na remont szkolnej szatni.

★

Kiedy w upalny, sierpniowy dzień ruszam na spacer po mieście, zagadując o TV Czarne przypadkowo spotkanych na ulicy ludzi, do jej oglądania przyznaje się niewiele osób. Większość odpowiada, że nie ma kablówki albo nie ma czasu oglądać telewizji. Nie-
wykluczone, że najwierniejsi widzowie TV Czarne w taką pogodę zdecydowali się po prostu pozostać w domu.

Matki, wypoczywające z dziećmi w cieniu bloków tuż obok nowego żłobka, przy ulicy Świerczewskiego (od kilku miesięcy: Wojska Polskiego), nie oglądają TV Czarne, bo nie mają takiego kanału. Jak mówią, tu, za rzeką, bliżej im już raczej do Szczecinka.

Szczecinieckie wiadomości wolą więc oglądać, w konkurencyjnej telewizji Gawex.

– Jak się żyje w Czarnem? – pytam w cukiernio-piekarni nieopodal rynku. Młoda ekspedientka narzeka na bezpieczeństwo. Gdyby nie chłopak, który dopiero co dostał dobrą pracę w służbie więziennej, na pewno by tu nie mieszkali. – Strach z dzieckiem wyjść wieczorem na ulicę – mówi, i na dowód przywołuje newsy z facebookowego profilu TV Czarne o bijatyce z użyciem siekiery i napaści na kobietę.

Klientki zakładu fryzjerskiego przy ul. Młyńskiej, TV Czarne oglądają sporadycznie. Kojarzą ją głównie z transmisjami z sesji Rady Miasta. W Czarnem wszyscy się znają, ciekawie podejrzeć, o czym sąsiedzi debatują na takiej sesji, kto się tam wypowiada.

U fryzjera narzeka się na burmistrza. Dobrze, że żłobek otworzył, ale po co ta szopka z Macierewiczem? Po co drzewa wycina? Lokalna telewizja, choć rzadko przez moje rozmówczynie oglądana, jest, mówią, potrzebna. Dobrze, że ktoś władzy patrzy na ręce.

★

– Cześć i chwała Irkowi, że to stworzył, i niech to trwa następne nawet i sto lat! – mówi Tadeusz Żyła – To jest nasza lokalna telewizja, nie każdy się może czymś takim pochwalić.

Żyła zna się z burmistrzem od dziecka, podobnie jak Czerniawscy. Zabrodzki, wtedy jeszcze Brodzik

(obecne nazwisko przejął po żonie, wraz z rodzonym herbem), dołączył do ich podstawówki w jednej z wyższych klas, po przeprowadzce z okolicznej wsi.

Z trójki znajomych ze szkoły tylko z Czerniawskim w nieformalnych sytuacjach burmistrz jest na ty.

– Nigdy bym się nie odważyła na ulicy podejść do niego i powiedzieć: „Hej Piotrek, co tam u Ciebie?” – mówi Czerniawska – Funkcja jest funkcją. A jednak bywały sytuacje, że burmistrz mógł powiedzieć „cześć”, a zastąpił je „dzień dobry”. Nie będziemy tego drażnić. Każdy jest człowiekiem na swój własny sposób.

Kiedy trzy lat temu Czerniawska kandydowała na radną miasta, Zabrocki, jak mówi, uznał ją za wroga numer jeden. Sugerował, że jako żona twórcy lokalnej telewizji nie powinna startować w wyborach, oskarżył TV Czarne o zaproszenie do udziału w nieodpłatnej audycji wyborczej, co miało narazić go na kłopoty przy rozliczaniu komitetu wyborczego (nieodpłatne audycje wyborcze mogą emitować tylko TVP i telewizje regionalne, choćby TVP Gdańsk, ale już nie TV Czarne).

Czerniawscy próbowali wyjaśnić tę sprawę specjalnym komunikatem na antenie telewizji. Tłumaczyli, że burmistrz ich pomógł – wszystkie komitety wyborcze płaciły za emisję audycji, jego komitet również miał zapłacić. Argumentowali – żona właściciela lokalnej telewizji jest takim samym obywatelem jak

wszyscy, ma prawo uczestniczyć w życiu publicznym. Plotki zrobiły jednak swoje. Czerniawska zrezygnowała ze spotkań z wyborcami, wycofała się z kampanii. Przegrała w swoim okręgu zaledwie kilkunastoma głosami.

★

Następnego dnia postanawiam odwiedzić burmistrza. Dostaję zaproszenie na kawę z samego rana – burmistrz urządza już od wpół do siódmej. Jest w doskonałym nastroju.

Opowiada o inwestycjach drogowych, przybliża projekt „Czarne zmieniamy na Zielone”. Wspomina o kwiatach, którymi ozdobił latarnie wzdłuż głównych ulic miasta. Jest mu przykro, że kwiatów nie może umieścić też na mostach, nie zgodził się na to Zarząd Dróg Wojewódzkich. To niby błahostka, ale całkiem inny klimat dla spacerujących.

Zapytany, opowiada o spotkaniu z Ministrem Obrony Narodowej. Miał przyjemność poznać go na pogrzebie „Inki” w Gdańsku. Tam też udało mu się, „dosłownie w ułamku sekundy”, nakreślić sprawę żłobka. Jak mówi, zgoda szefa MON spowodowała, że prace nabrały tempa.

– Tylko że tak wielkiego medialnego zamieszania jak z tablicą nie mieliśmy do tej pory, więc zastanawiam się... No, jeden pomysł jeszcze mam. Mamy tutaj taki czołg, którego będziemy bronili jak

niepodległości, bo teraz IPN chce czołgi likwidować, a my jesteśmy miejscowością bardzo z czołgistami związaną, więc... Kiedyś przyjechał do mnie kolekcjoner i chciał go kupić. Ja mówię, że możemy się dogadać, że go wyremontuje, a ja raz w roku będę nim zjeżdżał. O tak – burmistrz zjeżdża z pomnika! Na takiej zasadzie.

★

Lokalna telewizja? – To medium bardzo cenne – mówi burmistrz o TV Czarne – Ale o tym, komu samorząd da pieniądze na jej prowadzenie, decyduje przetarg.

Do ostatniego stanęło podlegające burmistrzowi Czarnańskie Centrum Kultury. Zatrudniony w nim nauczyciel fotografii i filmu, Andrzej Remus, od kilku lat przygotowuje własne relacje z wydarzeń kulturalnych w mieście i publikuje je na swoim kanale YouTube.

Burmistrz Zabrocki dobrze go zna i lubi. To jemu, nie TV Czarne, powierzył przygotowanie spotu wyborczego swojego komitetu.

Pięciominutowy spot składa się głównie z tekstu (258 linijek), przepływającego przed oczami widza w opowieści relaksacyjnej muzyki. Tekst ilustrują twarze kandydatów do Rady Miasta, przeplatane powracającą raz za razem twarzą kandydata na burmistrza, uchwyconego na tle zachodu słońca („Piotr Zabrocki. Z ludźmi dla ludzi”).

Kandydaci na radnych chcieliby: „rozwiązać problemy dotyczące dalszej egzystencji mieszkańców Gminy Czarne”, naprawić nawierzchnię „ulic ładnych, ale tylko z nazwy”, „przeciwstawiać się groźnym ideologiom w szkole i przedszkolu”. Dla jednego z kandydatów „osobistym sukcesem będzie wszechobecna radość na twarzy ludzi i płynąca od nich wdzięczność”.

Odkąd Zabrocki został burmistrzem, Remus towarzyszy mu we wszystkich ważniejszych momentach. To na jego kanale YouTube znalazły się podziękowania burmistrza po wygranych wyborach (wschód słońca, napisy, w tle głos burmistrza-elekta), a relacja Remusa z otwarcia żłobka była dwukrotnie dłuższa niż relacja TV Czarne. To Remus nagrał cykl „Dlaczego »Inka«?”, z wypowiedziami dwunastu osób uzasadniającymi zmianę nazwy czarneńskiej szkoły.

O tym wszystkim dowiaduję się dopiero po powrocie do Warszawy, kilka dni przed wysłaniem tekstu do druku. Z Remusem nie rozmawiałam. Telewizji lokalnej nigdy nie tworzył, ale domyślałam się, że burmistrz wierzy w jego możliwości.

– Nie żał by panu było człowieka, który zajmuje się tym od dwudziestu lat? – pytam, myśląc o Czerniawskim.

– W samorządzie musi być czystość. – mówi burmistrz. – Nawet złotówka może zdecydować, kto wygra. Dlatego najlepsza oferta musi być najtańsza.

Różnica w wysokości ofert wyniosła – burmistrz nie jest pewny – pięć lub dziesięć złotych. Tym razem Czarniawskiemu udało się wygrać.

*

Czarne, 177 km od Gdańska, 6 066 mieszkańców. W mieście usytuowano jeden z największych zakładów karnych w Polsce. Malownicza rzeka, Czarnica, nadaje się na letnie i zimowe wycieczki kajakiem.